EPOKA

TYGODNIK

ROK II — Warszawa, 28 maja 1933 R. — NR. 22 (35

A co teraz?

Masonerja w Polsce

Produkcja typów ludzkich

Groźne szarawarki

Dziki ksiądz

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Teatr.

AUTORZY: Michałowski. Krahelska. Rawski. Kornacki. Wasowski. Waśniewski. Czarnowski.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem — Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

DEKLARACJE HORDY

Spaleniu 20.000 tomów na placu Opery w Berlinie towarzyszyły „deklaracje" zdziczałych fanatyków, którzy wrzucali książki do ognia.

Pierwszy oświadczył: „Przeciw walce klas i materjalizmowi, za wspólnotę narodu, za idealizm życiowy! Oddaję płomieniom pisma Marxa i Kautskyego".

Drugi: „Przeciw dekadencji i rozkładowi moralnemu. Za cnotę i moralność w rodzinie i państwie! Oddaję płomieniom pisma Henryka Manna, Ernesta Glaesera, Ericha Kastnera!"

Trzeci: „Przeciw rozpuście myślowej i zdradzie politycznej, za oddaniem się ludowi i państwu! Oddaję płomieniom pisma Fryderyka Wilhelma Foerstera".

Czwarty: „Przeciw niszczącemu duszę przecenianiu popędów ludzkich, za szlachetność ludzkiej duszy! Oddaję płomieniom pisma Zygmunta Freuda!"

Piąty: „Przeciw fałszowaniu historji, pomniejszeniu wielkich ludzi narodu, za czcią dla przeszłości! Oddaję płomieniom pisma Emila Ludwika i Wernera Hegemanna".

Szósty: „Przeciw nierasowemu dziennikarstwu demokratyczno - żydowskiemu, za odpowiedzialną współpracę w dziele odbudowy narodowej! Oddaję płomieniom pisma Theodora Wolffa i Georga Bernharda!"

Siódmy: „Przeciw literackiej zdradzie wobec żołnierzy z wielkiej wojny, za wychowaniem narodu w duchu wojskowym! Oddaję płomieniom pisma Ericha Marji Remarque".

Ósmy: „Przeciw zaciemnianiu i zaśmiecaniu mowy niemieckiej, za pielęgnowaniem najdroższego dobra naszego narodu! Oddaję płomieniom pisma Alfreda Kerra!"

Dziewiąty: „Przeciwko bezczelności i arogancji, ze czcią wobec nieśmiertelnego narodu niemieckiego! Oddaję płomieniom pisma Tucholskiego i Osieckiego".

Trzeba dodać, że na czele pisarzy hitlerowskich, walczących z żydostwem, marxizmem i „duchem seksualizmu", stanął Hans Heinz Ewers, obecny prezes niemieckiego P. E. N. Clubu, głośny w swoim czasie pornograf. Ponieważ przyłączył się do hordy hitlerowców, książki jego nie znalazły się na indeksie. Hitlerowcy, którzy palą dzieła Freuda, Manna, Remarque'a, mogą smakować w lekturze takiej, jak książki Ewersa: sadystyczne nowele „Mamaloi", „Kamasutra, miłość na wschodzie", „Amangarangar — zwyczaje i obrzędy miłosne w Indjach" — dwie ostatnie „z wielu barwnemi ilustracjami"...

NIEUCZCIWY PROTEST

Niemiecka Konfederacja Pracowników Umysłowych rozesłała do wszystkich konfederacyj pracowników umysłowych w państwach Europy i Ameryki oświadczenie, pełne kłamliwych zaprzeczeń. Czytamy w końcowej części tego listu: „Będzie rzeczą bardzo istotną i pożyteczną dla koleżeńskiej współpracy pracowników umysłowych wszystkich narodowości, jeżeli zarządy poszczególnych central krajowych, należących do C. I. T. I. rozpowszechnią między swymi członkami nasz poważny i usprawiedliwiony (!) sprzeciw w stosunku do zakłamanej hecy o rzekomych okropnościach, popełnianych w Niemczech".

Tygodnik *Jutro Pracy* zamieszcza następujące o tym proteście uwagi:

„Dziwią nas utyskiwania na powtarzającą się w stosunku do Niemiec co pewien czas w świecie całym „Greulhetze". — Czy należy winić świat cały, że okazuje poczucie sumienia, wobec popełnianych przez Niemcy barbarzyństw, czy też należy winić Niemcy, iż wywołują taką reakcję świata, popełniając co pewien czas z podziwu godnym uporem te same barbarzyńskie wyczyny, będące przejawem masowego obłędu, trapiącego naród niemiecki i nie pozwalającego mu na uczestniczenie w lojalnej współpracy wszystkich narodów — *furor teutonica.*

„Czy winna jest Europa i świat cały, iż w r. 1900 wstrząsnęło wszystkimi oburzenie na wieść o pruskiem barbarzystwie, popełnionem w stosunku do polskich dzieci we Wrześni? Czy świat winien jest oburzeniu, spowodowanem masakrą w Louvain, spaleniem Kalisza, zatopieniem „Lusitanji" etc. etc. — Czy może winne są te właśnie koła rasowe „czystych" niemieckich intelektualistów, które narodowi niemieckiemu usiłują wszczepić jad teutońskiej wściekłości?

Dobrzeby było, aby niemiecka Konfederacja Pracowników Umysłowych pomyślała najpierw nad tem, a potem przystępowała do wysyłania tak niebywałych co do formy i treści protestów i wyjaśnień".

WSPÓŁCZESNY DYLEMAT

Czarne, nerwowe, przemysłowe miasto Birmingham dotkliwie odczuwa przesilenie. Chce bronić się, lecz jak? Kogo słuchać? Burmistrz mówi: „Jedynie wasze zwiększone wydatki zwalczą bezrobocie!" — zaś rada miejska każe oszczędzać, bo ratunek leży w oszczędnej gospodarce.

Na 550 tys. mieszkańców, Birmingham liczy 60 tys. bezrobotnych. Radny Goodby, lord-major miasta, zorganizował wielką ofenzywę przeciwkryzysową, która zatrudnia urzędy miejskie w ciągu 12 godzin dziennie. Wysłano listy do przemysłowców i finansistów. Rozlepiono afisze z napisem „Nie oszczędzajcie! Oszczędności zgubią was!" Samoloty rozsiały nad miastem dwieście tysięcy ulotek, pouczających o „racjonalnych sposobach wydawania pieniędzy": możesz zbudować dom, zainstalować centralne ogrzewanie, naprawić parasol, kupić samochód, ostrzyc trawę swego kwietnika...

„Zakup rzeczy, przekraczający nawet normalne zapotrzebowanie, naprawa przedmiotów, oddawna dopominających się o odświeżenie lub reparacje — zredukuje wasze rezerwy, ale rozwiąże lokalny problem bezrobocia!"

Natomiast rada miejska trwa w swojej ostrożności. Wierzy w oszczędność. I to jaką oszczędność! Budynki municypalne, nieodnawiane od kilkunastu lat, straszą ponurym wyglądem. Miasto posiada 500 km.

niezabudowanych ulic, z czego 300 km. przypada na śródmieście.

Mieszkańcy Birminghamu zdają sobie sprawę, że realizacja robót publicznych, a więc zwiększenie podatków, uszczupli ich oszczędności. Kupno auta czy naprawę domu własnego zastąpi obowiązek podatkowy. Są tedy w poważnym kłopocie, czemu daje wyraz prasa, która w licznych artykułach i ankietach stara się odpowiedzieć na pytanie „czy słuchać lordamajora i wydawać, czy też naśladować radę miejską i oszczędzać?"

KOSZTOWNA EKSPANSJA

Budżet Japonji na rok 1933 przedstawia się katastrofalnie. Już w 1931 roku deficyt wynosił 31.7% ogólnej sumy, co zmusiło rząd japoński do ogłoszenia w styczniu 1932 roku pożyczki wewnętrznej, którą społeczeństwo pokryto w 64% (109 miljonów jen), a 36% pokrył Bank Japonji (61 miljonów jen). W ciągu tegoż roku rząd zmuszony był do zaciągania nowych pożyczek... w Banku Japonji, które wyniosły ostatecznie 616.200.000 jen, czyli deficytową sumę budżetu państwa.

W roku bieżącym deficyt przekroczył 46% sumy budżetowej, czyli przeszło miljard jen. Zapewne znowu pożyczy rządowi tę sumę... Bank Japonji. Jeżeli zważymy, że 42% ogólnej sumy budżetu wynoszą koszta wojenne, zrozumiemy wówczas, jak dotkliwą jej rzeczą dla Japonji jej „naturalna" ekspansja.

NA RYNKU KRWI

Do niedawna płacono u nas przy zabiegach transfuzji zł. 50 za litr krwi ludzkiej. Obecnie cena spadła do zł. 20 z powodu wciąż wzrastającej podaży...

PRASA I PUBLICZNOŚĆ

W cyrku warszawskim odbywał się „międzynarodowy turniej tańca na wytrzymałość". Widowisko obrzydliwe, poniżające godność ludzką.

Prasa warszawska potępiła tę imprezę. Ale — rzecz godna zastanowienia — im więcej rozlegało się w gazetach potępień i protestów, tem szybciej rosła frekwencja publiczności, właśnie zachęconej opisami tego koszmarnego widowiska. Przedsiębiorcy, którzy urządzili ów turniej, bardzo byli zadowoleni z protestów prasy. Podobno w pierwszych dniach konkursu obawiali się, że takich protestów nie będzie.

Najlepszym chyba, skutecznym sposobem walki z tego rodzaju imprezami byłoby solidarne milczenie prasy.

AŻ PRZYKRO...

W korespondencji z Moskwy pisze p. Otmar w *Gazecie Polskiej:*

„Na zakończenie — parę słów o typie sowieckiego dziennikarza. Są to ludzie bezwzględnie ideowi, bowiem praca ta w warunkach tutejszych wymaga wielkiego zaparcia się siebie, a nieraz kompletnego zrezygnowania z ambicji osobistych. Ludzi szczerze utalentowanych jest między nimi bardzo wielu".

Kiedy się pomyśli o przeciętnym typie dziennikarza w innych krajach, bliżej nam znanych, porównanie wypada boleśnie, zwłaszcza, jeśli mowa o dziennikarskiej ideowości...

A CO TERAZ?...

To wcale nie jest takie proste, jakby się mogło z pozoru wydawać.

Oddali rodzice syna do szkoły, szybką, uskrzydloną rodzicielskiem uczuciem, myślą przebiegli wszystkie etapy pracy szkolnej syna — i już go widzą w adwokackiej todze, w lekarskim fartuchu, w blaskach sławy opromieniającej warsztat późniejszej samodzielnej pracy syna. Wiedział — albo nie wiedział o marzeniach rodzicielskich syn. Wszedł do szkoły, albo nie zastanawiając się wcale nad tem, po co do niej wchodzi, albo będąc przekonanym, że *musi* być kiedyś lekarzem, adwokatem, inżynierem.

Z biegiem czasu, kiedy to rodzicielskie marzenie zdaje się być coraz bliższem realizacji, okazać się może, że obudzone w szkole zamiłowanie do jakiejś pracy, że ujawnione niewiedzieć, jak i skąd zdolności pokierują krokami syna w innym zupełnie, dalekim od rodzicielskich planów i marzeń kierunku. A może okazać się również, że niema w nim ani specjalnych zdolności, ani żywszego zamiłowania, że wszystkie drogi, jakie się przed nim otworzą, są zupełnie jednakowe — bo jednakowo obojętne.

To wcale nie jest takie proste, jakby się mogło z pozoru wydawać.

Mógłby kto pomyśleć, że ukończenie szkoły średniej i przejście do wyższych samodzielnych studjów— to jest zupełnie taki sam prosty i naturalny proces, jak przejście z klasy do klasy. Mógłby kto pomyśleć, że każdy abiturjent szkoły średniej ma w zanadrzu szczegółowo opracowany plan dalszych studjów, że przemyślał dokładnie i dobrze wie, na jaką ma wkroczyć drogę — jakiemu poświęcić się zawodowi. Ktoby tak pomyślał — popełniłby bardzo wielką pomyłkę. Bo to nie jest takie proste.

Jesteśmy obecnie w przededniu chwili, kiedy tysiące maturzystów opuszczą szkołę średnią i staną twarzą w twarz wobec pytania: a co teraz?... Długoletnia praca w gimnazjum z chwilą otrzymania do ręki świadectwa dojrzałości stanie się już tylko wspomnieniem — przeszłością. A co teraz będzie? Co robić w dalszym ciągu? Jakiemi drogami iść w przyszłość?

Wybór zawodu nie jest taką łatwą i prostą rzeczą, jakby się to mogło z pozoru wydawać.

Nie mamy pod ręką statystyki, któraby wykazała, jak wysokim jest procent studentów wyższych uczelni, którzy już po pierwszem półroczu uniwersyteckich studjów nabrali przekonania, że obrany przez nich wydział im nie odpowiada, że szukać muszą innej drogi; nie mamy pod ręką statystyki, mówiącej o tem, jaki procent stanowią tak zwani „wieczni studenci", błakający się wśród murów wyższych uczelni bezradnie i bezładnie; nie mamy danych, wykazujących liczbę procentową młodzieży, która po krótszym lub dłuższym pobycie w uniwersytecie porzuca całkiem studja wyższe. powiększając liczne bardzo szeregi niedouczków. I niema żadnych danych, któreby mówiły nam o tem, wielu mamy lekarzy (pamiętacie „Spowiedź lekarza" Weresajewa?), adwokatów, inżynierów, traktujących swój zawód, jako ciężkie jarzmo, które nieoględnie i nieumiejętnie sami na siebie nałożyli. Ale możemy śmiało, bez obawy przesady twierdzić, że te odsetki są wcale pokaźne.

Czegoż to dowodzi? Czy nie tego, że wybór zawodu nie jest wcale rzeczą łatwą? I czy nie tego, że

młodzież nasza do takiego wyboru nie jest należycie przygotowaną?

Szkoła średnia ogólnokształcąca daje młodzieży ogólny, podstawowy zasób wiedzy — bo takim jest jej charakter. Ale czy istotnie tylko do tego ograniczać powinna swą kształcącą i wychowawczą rolę? W teorji wygląda to wcale słusznie: daliśmy wam fundamenty — a teraz wy sami budujcie na nich. A czy wybudujecie zwykły drewniak, czy efektowną kamienicę, czy pyszny pałac — to już wasza rzecz. Wygląda to słusznie, ale...

Czy uczeń podczas pobytu w szkole średniej ogólnokształcącej jest należycie informowany o tem, jakie są zawody, które nań czekają po wyjściu ze szkoły? Co jest warunkiem owocnej pracy w danym zawodzie? co trzeba umieć i jakim trzeba być, by należycie daną pracę zawodową wypełniać? Nie — takich informacyj uczeń w swej szkole nie otrzymuje. Czasem, rzadka, przy jakiejś wypadkowo nadarzonej okazji usłyszy coś od nauczyciela o tem i owem; czasem wysłucha całej prelekcji urządzonej dlań specjalnie przy końcu roku szkolnego w ósmej klasie; czasem przez słuchawki radjowe ktoś coś mu o tem powie. I to wszystko. Ale to chyba zbyt mało. Szkoła mogłaby zrobić w tej dziedzinie coś więcej. Znacznie więcej.

Bardzo niedawno bawił w Warszawie profesor uniwersytetu w Pradze czeskiej, dr. Franciszek Saracky, dyrektor Instytutu Psychotechnicznego przy Masarykowej Akademji Pracy. Prof. Seracky wygłosił dwa odczyty, z których jeden poświęcony był omówieniu badań psychotechnicznych abiturjentów szkół średnich w republice Czechosłowackiej. Badania te stwierdziły rzecz bardzo charakterystyczną dla współczesnych abiturjentów szkół średnich. Oto mianowicie okazało się, że zaledwie 57% młodzieży wychodzącej ze szkoły z maturą w ręku wiedziało, jaki zawód wybierze, a więc świadomie wybrało zakład wyższy; 43% tej młodzieży wahało się w wyborze zawodu, a 9% z tych 43% wogóle nie zastanawiało się nad wyborem zawodu i o zawodach nie wiedziało nic zgoła.

Mamy wrażenie, że nie popełnimy zbytniej pomyłki, jeżeli powiemy, że przytoczone powyżej wyniki badań nie są zjawiskiem lokalnem, wyłącznie czechosłowackiem, ale że tak samo wyglądałyby one i u nas i gdzieindziej.

Psychologja rozwojowa mówi, że zjawiające się w okresie dziecięctwa zainteresowania, a często nawet i uzdolnienia zanikają w okresach przedpokwitania i pokwitania; dopiero w okresie młodzieńczym (16 — 17 lat, a więc w klasie VI — VII) nabierają wyrazistości i ustalają się. Czy takie już ustalone zainteresowanie, uzdolnienie i zamiłowanie w pewnym kierunku nie powinno stać się przedmiotem bacznej obserwacji, troski i opieki ze strony szkoły? Czy taka opieka nie byłaby właśnie przysposabianiem ucznia do jego przyszłego zawodu? Czy z tą opieką nie powinnaby wiązać się praca uświadamiania ucznia-miłośnika pewnej dziedziny wiedzy na temat tego, co czeka go w przyszłości w tym zawodzie i co on dla tego zawodu robić będzie musiał?

Może ktoś w tem miejscu postawić niepozbawiony słuszności zarzut: jakto! więc zawalonemu pracą nauczycielowi należy włożyć na barki jeszcze jeden ciężar? Zapewne — byłby to ciężar nowy i poważny. Ale powinienby tu przyjść z pomocą i ulżyć nauczycielowi ktoś, kogo w szkołach naszych jeszcze niema (są jedynie bardzo nieliczne wyjątki). Powinien pomoc tę dać psycholog szkolny. Jego zadaniem jest nietylko obserwacja i badanie młodzieży, ale i pozyskanie jej zaufania, pozyskanie jej „tajemnic", poznanie uzdolnień i zamiłowań. Współpraca nauczyciela-wychowawcy z psychologiem szkolnym da dopiero właśnie to, o co nam chodzi: da młodzież świadomą tego, co ją poza wrotami szkoły czeka, przygotowaną do wkroczenia w życie, zorjentowaną dokładnie w charakterze pracy, jakiej poświęcić się postanowiła.

To jest rzecz ważna i zastanowić się nad nią głęboko należy. A nie zawadzi pamiętać także i o tem, że — jak to powiedział we wspomnianym wyżej wykładzie prof. Seracky — ekonomja żywego ludzkiego materjału znaczy stokroć więcej od ekonomji rzeczy martwych.

Zygm. Michałowski

PRODUKCJA TYPÓW LUDZKICH

W powieści Huxleya o świecie w przyszłości wysuwa się wstrętną społecznie i niedorzeczną myśl, że w programie sztucznej hodowli (wylęgania) ludzi będzie się zgóry pewną część społeczeństwa predestynowało do niższych, najprzykrzejszych funkcyj i w związku z tem — zgóry upośledzało ją fizycznie, nadając jej: mniejszy wzrost, ograniczone zdolności umysłowe, brzydszy wygląd i t. p. Będą ludzie typu „Ypsylon-minus".

Idea jest nietylko wstrętna społecznie, ale i naiwna: świat idzie w odwrotnym kierunku. Praca fizyczna zdobędzie sobie na całym świecie należną jej ocenę i uznanie.

W Polsce — w obozie, który o Polskę walczył, mało było ludzi, nie doceniających wartości klasy robotniczej z punktu widzenia najżywotniejszych interesów państwa: klasa ta umiała składać zbyt wymowne ofiary w walce o Polskę, w obronie Polski. Nie sądzę też, ażeby pod tym względem miały się nasze drogi rozwojowe wypaczyć, żebyśmy mieli popełnić kardynalny błąd niedoceniania, lekceważenia tej właśnie części społeczeństwa, na jakiej przyszłość Polski będzie mogła wesprzeć się ze spokojem.

Czemu tedy popełniamy wobec klas pracujących wielki błąd niewiedzy, poprostu ignorowania tego, *w jakich warunkach żyje, rozwija się i pracuje nasza młodzież robotnicza*, że już nie mówię o bezrobotnej...

Prócz kilku broszurek — paru przyczynków Instytutu Gospodarstwa Społecznego i — ostatnio — paru broszurek p. Janiny Miedzińskiej, inspektorki pracy, nie mamy o tem prawie nic w literaturze. P. Miedzińska napisała o warunkach mieszkaniowych młodzieży robotniczej w stolicy państwa (odbitka ze zbiorowego wydawnictwa „Drogi" z r. 1930, „Pięć lat na froncie gospodarczym"), w innych zaś przyczynkach podniosła kwestję t. zw. nauki zawodu młodzieży w przemyśle i rzemiośle, udowodniając, iż cała ta nauka jest w rzeczywistości fikcją i pretekstem do upośledzania młodzieży w stosunkach najmu. Mało osób zna te bardzo wartościowe broszury, mało osób czytuje też prasę robotniczą zawodową (poza zrzeszonymi robotnikami), z której się też można dużo dowiedzieć o warunkach pracy. Może bodaj więcej

osób czytało bardzo niedołężne elaboraty rozmaitych izb rzemieślniczych czy przemysłowych, wydane w odpowiedzi na książki p. Miedzińskiej i — zapewne — szeroko śród zainteresowanych rozkolportowane.

Teraz posiadam, dzięki Bibljotece „Wiadomości Kas Chorych", nowy materjał o *stanie rozwoju fizycznego młodzieży pracującej, o wpływach pracy zawodowej na zdrowie.* Jest to broszurka prof. Leona Waściszakowskiego, p. t. „Pracownicy młodociani w świetle badań Kas Chorych". Znajdujemy w niej informacje o wynikach badań zdrowia młodzieży robotniczej przez lekarzy Kas Chorych. Badania te zostały zagwarantowane młodzieży ustawą o ochronie pracy kobiet i młodocianych jeszcze w z r. 1924, ale początek ich realizacji przypada dopiero na r. 1929, w którym Ogólno-Państwowy Związek Kas Chorych, w porozumieniu z ministerstwem (Głównym Inspektorem pracy) otworzył pierwsze stacje badawcze.

W r. 1931 stacyj takich było już 23 i objęły one badaniem lekarskiem przeszło 25 tysięcy młodzieży pracującej, chłopców i dziewcząt. Dokładne wyniki badań podane są dla 14 tysięcy młodzieży, przyczem liczba chłopców przeszło dwukrotnie przewyższa liczbę dziewcząt.

Obraz stanu zdrowia i rozwoju fizycznego młodzieży jest *niesłychanie ponury.* Młodzież jest zdziesiątkowana przez przebyte choroby, które nie dały się jej wogóle należycie rozwinąć: niski przeciętny wzrost bowiem, mała waga, wązki obwód klatki piersiowej, podwyższona stale podgorączkowa temperatura — wiążą się z przebytemi chorobami. Dziewczęta wykazują gorszy stan zdrowia, niż chłopcy. *Śród dziewcząt 17-letnich prawie połowa wykazała podwyższoną temperaturę;* choroby płuc, serca, oczu, skóry występują również naogół częściej u dziewcząt, niż u chłopców. *Rozmaite braki w budowie fizycznej* (wadliwą budowę, skrzywienia kręgosłupa, ślady krzywicy, zniekształcenia stóp i in.) stwierdzono *u każdego trzeciego — czwartego* śród zbadanych. Ogółem śród 14 tysięcy zbadanych pod tym względem *4 tysiące* (28%) *pracowało z podwyższoną temperaturą.*

W niektórych gałęziach produkcji zdrowie młodzieży jest szczególnie podważone: badania lekarskie dają już pod tym względem zupełnie poważne wskazania.

Występuje *szczególna szkodliwość przemysłów: papierniczego, włókienniczego, gumowego, niektórych rodzajów pracy w przemyśle metalowym.* Zgodne to jest z wynikami badań lekarskich nad szkodliwemi wpływami pracy w innych krajach. Występuje więc i tu słabsza odporność, większa nieporadność organizmów dziewczęcych wobec chorób. A przecież wciąż jeszcze tyle się mówi — z inspiracji sfer przemysłowych — o równości pod tym względem organizmów kobiecych i męskich; tyle nierozumnej wrzawy robią feministki z Oppen Door'u przeciw specjalnej ochronie zdrowia kobiet przy pracy!...

Tymczasem wystarczy tu kilka liczb porównawczych, jak reagują organizmy chłopięce i dziewczęce na szkodliwe wpływy produkcji, w jednej i tej samej grupie przemysłu. A więc w przemyśle gumowym i celulozy u chłopców stwierdzono braków, wad i chorób: wzroku — w 18,6% wypadków, u dziewcząt — w 48,0%; płuc — u chłopców — 8,0, u dziewcząt — 23,1, — serca — u chłopców — 4,0, u dziewcząt 12,6. W przemyśle włókienniczym — choroby skóry u dziewcząt: 10,0 przy 7,9 u chłopców; oczu: 35,9 u dziewcząt, 29,1 u chłopców. Podobnie w przemyśle papierniczym — u dziewcząt — schorzenia skóry w 18,0%, u chłopców, w 11,0%; próchnica zębów u dziewcząt — 68,9, u chłopców — 55,9, — choroby wzroku — u dziewcząt — 41,8, u chłopców — 32,1, — płuca chore — u dziewcząt — 33,2, u chłopców — 24,7; choroby serca — u dziewcząt — 18,4, u chłopców — 5,4. Różnica w stopniu wyniszczenia organizmów, jak widzimy, bardzo znaczna. Jasnem jest, że organizmy dziewczęce, obarczone dodatkową, funkcją macierzyństwa i sposobienia się całego młodego organizmu do macierzyństwa, gorzej znoszą wpływy pracy i jej szkodliwe warunki.

Przypominam sobie, że od lekarzy z ambulatorjów fabrycznych słyszałam już dawniej (w okresie 1925 — 1928), iż dziewczętom należałoby poprostu zakazać pracy np. w przemyśle włókienniczym, ze względu na szczególnie prędkie rujnowanie się ich organizmów (płuc) pod wpływami nadmiernego ciepła i wilgoci w przędzalniach: młode dziewczęta, zupełnie zdrowe przy wstąpieniu do pracy, niekiedy *po paru już miesiącach zdradzały zmiany chorobowe w płucach.*

Wyniki badań młodocianych dają też dość sposobności do przyjrzenia się *porównawczo szkodliwości rozmaitych przemysłów* dla zdrowia młodzieży.

Tak więc, u dziewcząt: schorzenia płuc spotykają się u służących tylko w 8,4% wypadków, u pracownic handlu — w 16,0, w przemyśle spożywczym — w 19,3, — w przemyśle gumowym — 23,1, we włókienniczym i odzieżowym — 29,1, w papierniczym — 33,2, w szlifierstwie, srebrzeniu, obróbce żelaza — 37,2.

Podobnie choroby skóry wykazują śród dziewcząt, zatrudnionych w wyżej wymienionych siedmiu gałęziach przemysłu, wahania od 3,5 do 18,0; próchnica zębów — od 44,1 do 71,0; choroby wzroku — od 5,4 do 48,0. — To samo można widzieć i u chłopców.

Ileż stąd wskazań dla opieki społecznej, instytucyj ubezpieczeniowych, inspekcji pracy, wychowania fizycznego!

Należy natychmiast pomyśleć *o środkach zaradczych przeciw temu bezprzykładnemu wyniszczaniu naszej młodzieży pracującej.* Nie jest słusznem, ze względu na klęskę bezrobocia, usprawiedliwiać najbardziej nawet wadliwe warunki pracy tem, że każda praca lepsza od bezrobocia. Musimy wciąż pamiętać o tem, że roczniki dziś 15 — 20-letnich — *jest to część ludności, od której tężyzny fizycznej i moralnej będzie zależał rozwój i rozkwit Polski.* Jest całkiem nierozumnem opierać horoskopy tego rozwoju wyłącznie o ludzi dziś czterdziestoletnich. Jest jeszcze mniej poważnem projektować oparcie przyszłości Polski o inne sfery społeczeństwa, niż klasa pracująca.

Masowa produkcja typów „Ypsylon-minus" jest społeczną katastrofą i zagraża najbliższej przyszłości narodu.

Halina Krahelska

ZARZUTY PRZECIW MASONERJI W POLSCE

Z pośród zarzutów stawianych wolnomularstwu wysuwają się na pierwszy plan: bezbożnictwo, kosmopolityzm i tendencje wywrotowe.

Literatura, dotycząca wolnomularstwa jest naogół bardzo skąpa, przeważnie tendencyjna. Wystarczy powiedzieć, że niemal do ostatnich czasów za najpoważniejsze dzieło w tej dziedzinie uchodziła praca jezuity Ks. St. Załęskiego „O Masonji w Polsce od roku 1742 do 1822", — dzieło nawskroś tendencyjne. Pozatem istnieje kilka broszurek, pisanych bądź przez księży, bądź przez ludzi z organizacjami katolickiemi ściśle związanych. Celem ich jest obrzydzenie i zdyskredytowanie idei wolnomularstwa. Cel ten jest tak oczywisty, a przytaczane przykłady tak fantastyczne, że osiągają skutek wręcz przeciwny. Ta niezręczna literatura wywołuje odrazu nieufność czytelnika i zmusza go do poszukiwania innych dzieł, w sposób rzeczowy i objektywny przedstawiających zagadnienie. Bo, czy np. może ktokolwiek uwierzyć, aby w czasach dzisiejszych kandydata na masona zmuszano do przebicia sztyletem człowieka, poczem, gdy go już przekłuje, okazuje się, że to nie był człowiek, lecz częściowo z pod zasłony wystający baran z gładko wygoloną skórą[1]). Tego rodzaju nieprawdopodobne brednie spotyka się niemal na każdej stronicy tych „dzieł". A jednocześnie te same „dzieła" wymieniają jako członków lóż masońskich najwybitniejsze nazwiska uczonych, poetów, artystów, generałów, mężów stanu, nawet monarchów. Siłą rzeczy powstaje pytanie, w jaki sposób ci ludzie mogą do tak okrutnej instytucji należeć. Zboczenie? Zaprzeczają temu wszakże ich życiorysy dobrze znane. Nieświadomość? Jaka może być nieświadomość, jeżeli zaraz na wstępie, przy inicjacji, w tak oczywisty sposób otwiera się karty?

Niestety, literatura, traktująca rzecz poważnie, jest u nas nad wyraz skąpa. Tłomaczyć to należy nie tyle brakiem zainteresowania, ile trudnością dotarcia do źródeł. Archiwa Wielkiego Wschodu Polskiego zostały po kasacie wolnomularstwa, dokonanej przez Aleksandra I w 1822 r., zabrane przez władze rosyjskie.

Pozostały tu i ówdzie, przeważnie w zbiorach prywatnych, dokumenty i insygnia poszczególnych lóż, co sprawia naturalnie wielką trudność w ich opracowaniu. A jednak do źródeł tych docierali nasi pisarze i historycy, jak Żeromski, Chmielowski, Aszkenazy, choć żaden z nich w syntetycznem ujęciu zagadnienia wolnomularstwa nie przedstawił. Pierwszej próby dokonał A. Niemojewski w popularnej broszurce „O Masonerji i Masonach". Nie jest to wprawdzie praca źródłowa, bo jak sam autor przyznaje, „przeczytał z jaką półsetkę książek", przemyślał je i tym przeglądem z czytelnikami się dzieli. W każdym razie jest to pierwsza praca bezstronna, rzucająca niejakie światło na istotę wolnomularstwa. Dopiero w latach ostatnich Stanisław Małachowski-Łempicki w szeregu świetnych, wyłącznie na źródłach opartych pracach, zaznajamia społeczeństwo polskie z istotą wolnomularstwa i jego znaczeniem w historji Polski. Jako dowód wartości naukowej prac tego autora niech służy fakt, że jedna z nich

[1]) J. O. Grabowski — „Masonerja", str. 12.

wydana została nakładem Akademji Umiejętności[1]), inna — przez T-wo Przyjaciół Nauk w Wilnie z zasiłku Ministerstwa Wyzn. Rel. i Ośw. Publ.[2]). Nie będę przytaczał długiego szeregu broszur i artykułów tego autora — powiem tylko, że wszystkie cechuje głęboki objektywizm i sumienna praca historyka.

Wolnomularstwo obejmowało elitę społeczeństwa umysłową i rodową. Jak się wyraża ks. Szymański w jednym z listów 1816 r. „z magnatów ledwie najdziesz którego — coby do tego bractwa nie należał". Jak ze spisów członków lóż masońskich, podanych przez ks. Załęskiego i uzupełnionych przez S. Małachowskiego, wynika, wszyscy najwybitniejsi działacze u schyłku Rzeczypospolitej, w szczególności twórcy Konstytucji majowej (J. Potocki, S. Małachowski, ks. Piatoli, J. Niemcewicz, A. Czartoryski), jak również później w Polsce porozbiorowej, byli masonami. Należało też do masonerji wyższe duchowieństwo.

Ówczesne życie polityczne było tak nierozerwalnie związane z Kościołem, że mimo prądów wolnomyślicielskich, wpływy kościelne wyraźnie występują w Konstytucji 3-go maja, przebijają też w ustawach, a nie mniej w praktyce wolnomularzy, co zresztą nie przeszkadzało im szerzyć zasadę tolerancji religijnej. Masoni nie stronili od Kościoła. Doroczne święto św. Jana, obchodzone 24 czerwca, — wyjaśnia Małachowski — loża „Gorliwy Litwin" rozpoczynała uroczystem nabożeństwem, a loża ta, jak i wszystkie inne, należała do Wielkiego Wschodu Narodowego Polskiego. W inne dni uroczyste zakupywano msze, urządzano w kościołach nabożeństwa żałobne za zmarłych braci, a jałmużną wspierano często dobroczynne instytucje, utrzymywane przez duchowieństwo. Loże warszawskie przeznaczyły pewien fundusz na zakupienie organów dla jednego z tutejszych kościołów.

Praktyki te wypływały z przewidzianych ustawą wolnomularstwa obowiązków względem Boga i religji. S. Małachowski przytacza w tym względzie następujący ustęp z Ustawy, którą rządziły się loże, należące do W. Wschodu Polskiego: „Bracie, najpierwszy twój hołd należy Bóstwu. Szanuj więc Istotę pełną majestatu i potęgi, Która stworzyła świat cały skinieniem woli Swojej, Która napełnia serce twoje, Która go zachowuje skutkiem działań Swoich, a Której twój rozum pojąć i opisać nie zdoła... Podobać się Bogu oto twoje szczęście, połączyć się z Nim nazawsze, oto najwspanialsza żądza i cel ostateczny twoich postępków... Lecz nadewszystko prawidło miłości bliźniego — zasada tej świętej religji — niech wsiąknie głęboko w serce twoje".

Podobnie jak idee filozoficzno-społeczne racjonalistów francuskich, przeszczepione na grunt polski, przybrały charakter wybitnie narodowy, tak i wolnomularstwo, które jednocześnie przyszło z Francji, rychło wyzwoliło się z pod wpływów obcych i stanęło

[1]) „Wykaz polskich lóż wolnomularskich oraz ich członków w latach 1738 — 1821, poprzedzony zarysem historji wolnomularstwa polskiego i ustroju Wielkiego Wschodu Narodowego Polskiego", Kraków 1929 r.

[2]) „Wolnomularstwo na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego 1776 — 1822", Wilno. 1930 r.

na gruncie realnych warunków życia narodowego. Hasła wolnomularskie — wolność, równość i braterstwo, są tak rozległe, że obejmować muszą całą ludzkość, nie tylko jeden jakiś naród. Wszak to były najszczytniejsze hasła rewolucji francuskiej, przyjęte następnie przez wszystkie demokracje współczesne. W tych to hasłach, zwłaszcza w „braterstwie" dopatrują się wrogowie masonerji — kosmopolityzmu. Lecz kosmopolityzm masonów wyraża się w braterstwie narodów, nie może więc być stawiany jako zarzut, przeciwnie — jest chlubnem hasłem wolnomularstwa. Te hasła wypisał na swym sztandarze Henryk Dąbrowski, także mason, prowadząc legjony swoje do Polski. Braterstwo narodów, ale narodów wolnych, było hasłem naczelnem wolnomularzy polskich.

Duch patrjotyczny wolnomularstwa polskiego nie ulega najmniejszej wątpliwości. Z ich to inicjatywy wyszła Konstytucja 3-go Maja, oni przewodzili konfederatom Barskim; w całym późniejszym ruchu wolnościowym spotykamy wybitne ich wpływy. Czy Kościuszko był masonem, nie jest pewne, jakkolwiek na śledztwie, prowadzonem przez Nowosilcowa w sprawie Zakonu Templarjuszów w Polsce, jeden ze świadków wymienia go jako masona. Wolnym mularzem był natomiast Pułaski, a także książę Józef Poniatowski. Niemal cały rząd Księstwa Warszawskiego stanowią masoni. Do szczytu rozkwitu dochodzi masonerja w czasach Królestwa Kongresowego. Z wybitnych masonów, ówczesnych działaczów powstaje Towarzystwo Patrjotyczne. Wolnomularze przyczyniają się walnie do powstania listopadowego.

Miłość Ojczyzny wpływa także z cytowanej wyżej Ustawy W. Wschodu Polskiego: „Pierwszy twój hołd należy Bogu, drugi Ojczyźnie... Jeżeliby serce twoje na wspomnienie słodkiego imienia Ojczyzny nie wrzuszyło się i nie zadrgało — Wolni Mularze wyrzucą cię z łona swojego, jako burzyciela porządku powszechnego, jako niegodnego być uczestnikiem tego Towarzystwa..., którego jedną z najsilniejszych sprężyn jest miłość Ojczyzny".

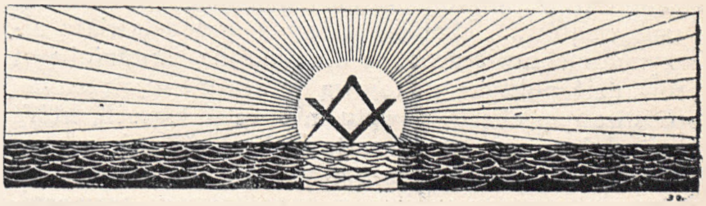
Miłością Ojczyzny i duchem demokratycznym przesiąknięte było wolnomularstwo polskie. Zasady demokratyczne obowiązywały je wewnątrz, każdy miał dostęp do najwyższych godności, zasada równości obowiązywała bezwzględnie. Masoni polscy nietylko w stosunkach wewnętrznych byli demokratami, zasady te starali się przeprowadzać w życiu politycznem i społecznem. Wolnomularze litewscy w r. 1817 przeprowadzili podczas wyborów szlacheckich uchwałę w sprawie oswobodzenia włościan. Kasata wolnomularstwa, a głównie stanowisko rządu rosyjskiego, stanęły na przeszkodzie do wprowadzenia tej uchwały w życie.

Zarzut tendencyj „wywrotowych", a właściwie dążność do wyzwolenia politycznego, jest istotnie słuszny, dążyli bowiem wolnomularze do niepodległości, popierali każde wystąpienie przeciwko zaborcom, a w okresie powstań narodowych zabiegali o poparcie u braci-masonów zagranicznych. Popierali rosyjski ruch rewolucyjny i współdziałali z Dekabrystami, jedynie w celu wywalczenia niepodległości. Tendencje niepodległościowe wolnomularstwa były też powodem kasaty 1822 r. Tendencyj wywrotowych, w znaczeniu społecznem, wolnomularstwo nigdy nie miało.

Masoni polscy przyczyniali się w miarę możności i sił do podniesienia życia gospodarczego kraju, wspierali rzemiosło, nawiązywali pertraktacje z przemysłowcami zagranicznymi, celem budowy fabryk w Polsce, zakładali szkoły zawodowe, przyznawali stypendja młodzieży, wyjeżdżającej zagranicę do szkół zawodowych.

Zbyt mało, a właściwie nic się nie wie o działalności wolnomularstwa od czasu odzyskania niepodległości. Jako towarzystwo tajne, nie może ono występować nazewnątrz, jeżeli jednak przyjęło tradycje dawnego wolnomularstwa polskiego, jeżeli skupiło elitę społeczną i utrzymało dawne hasła, to działalność jego będzie niewątpliwie pożyteczna, a jeśli nadto utrzymuje stosunki braterskie z masonami tych krajów, w których masonerja odgrywa większą rolę polityczną, to i na terenie międzynarodowym może wiele pożytecznego dla kraju zdziałać.

Cz. Ch.



ODGŁOSY

DWA FASZYZMY

Głośny pisarz niemiecki, obecnie na indeksie hitlerowskim, *Emil Ludwig*, przeprowadza interesujące zestawienie faszyzmu Włoch i Niemiec w artykule *„Dwa faszyzmy"*, zamieszczonym w tygodniku paryskim *„Marianne"*.

„Trudniej było, — pisze Ludwig — wprowadzić faszyzm w Italji, niż w Niemczech. Wzajemne walki republik i wolnych miast włoskich, walki z papieżem — w ciągu wieków przyzwyczaiły Włochów do zasady podziału władz i ich szybkiej zmiany. Stali się narodem o umysłowości krytycznej, niezależnej, politycznej. Niemieckie wojny domowe dyktowane były dynastycznemi interesami książąt. Niemcy pozostali apolityczni i zależni. Historja Włoch notuje wiele rewolucyj politycznych — dzieje Niemiec znają tylko jedną rewolucję — reformację. Dla Włochów zagadnienie władzy jest istotne, ma wagę życiową. W Niemczech zawsze pozostawało kwestją raczej personalną.

...„Podczas rozmów z Mussolinim, zwróciłem mu uwagę, że faszyzm odpowiada raczej naturze niemieckiej, od 300 lat nawykłej do posłuchu. Il Duce odpowiedział: — „Włosi natomiast mają umysły zbyt krytyczne i dlatego potrzeba im teraz autorytetu". Mussolini narzucił faszyzm marszem na Rzym — Niemcy zaakceptowali go kartkami wyborczemi. Połowa narodu niemieckiego głosowała za dyktaturą.

„Łatwiej było zresztą przemienić Niemców w faszystów, ponieważ posiadają najlepsze w świecie organizacje. U góry — armję, u dołu — syndykaty. Setki zrzeszeń, grup, związków czynią Niemców szczęśliwymi, bo każdy z nich chce mieć zwierzchników i podwładnych.

...„Hitler łatwiej osiągnął swój cel, ponieważ Niemcy cierpiały wskutek dziejowej klęski. Naród

zwyciężony i dotknięty kryzysem światowym łatwiej ulega obietnicom i demagogji, niż zwycięskie państwo Italji w r. 1922, przeżywające wstrząsy, lecz nie katastrofę. Hitler mógł nieustannie krzyczeć o straconych ziemiach i przekonywać o konieczności ich odebrania.

...„Il Duce musiał walczyć o polityczny prestige Włoch. Hitler skorzystał z rezultatów pracy Stresemanna i innych ministrów. Osiągnął władzę w chwili, gdy 3 podstawowe artykuły Wersalu były już obalone kunsztem dyplomatycznym poprzedników. Rathenau zastał Europę wrogą, Hitler — przyjazną.

...„Sprzyjały Hitlerowi nastroje militarystyczne. Niemcy nie są — być może — bardziej wojowniczy od innych narodów, lecz lubią zabawę w wojsko — ponieważ żyją i myślą hierarchicznie. Republika zyskałaby miljony zwolenników, gdyby umiała zrobić użytek z rewji, pochodów, ćwiczeń wojskowych i sztandarów, wykorzystując niemiecki kult formy i emblematów... Dlatego Niemcy przedstawiają olbrzymie niebezpieczeństwo dla pokoju. Trudniej jest prowadzić politykę pokojową w kraju zwyciężonym, opanowanym chęcią odwetu, niż we Włoszech, które nie żądają rewanżu. Zresztą Italja dotkliwie odczuwa ciężar zbrojeń, podczas gdy zbrojenia Niemiec dostarczyłyby pracy miljonowi bezrobotnych, wzmocniłyby akcje ciężkiego przemysłu i banków, stwarzając w ciągu roku pozory gospodarczej pomyślności.

...„Sytuacja intelektu w obu krajach ujawnia również znaczne różnice... Mussolini wysoko ceni twórców. Nadał godność senatorską filozofowi Croce, który nie jest zwolennikiem regime'u. Natomiast ani jedno nazwisko niemieckie o zasięgu europejskim nie związało się dotychczas z ruchem nazi. Większość znanych w świecie umysłów niemieckich jest prześladowana lub znajduje się na wygnaniu.

...„Odżył w pełni *rozdział państwa i intelektu*, który charakteryzuje dzieje Niemiec od 500 lat. Rzym i Florencja są od wieków ośrodkiem władzy, a jednocześnie wiedzy. Chociaż wielu intelektualistów włoskich uprawia opozycję względem regime'u, niemożliwem wydaje się w Italji przeciwieństwo, jakie istnieje między „Weimarem" a „Potsdamem"... Ideał podoficera znów triumfuje nad cywilnym myślicielem".

GROŹNE SZARAWARKI

Jako reakcja przeciw cherlactwu fizycznemu, jakie niosła wojna światowa i jej następstwa, zrodził się pęd w kierunku fizycznego doskonalenia się, uznanie dla tężyzny fizycznej.

W służbę tego hasła oddaje się wychowanie, szkoła, higjena, architektura, przemysł budowlany, mieszkaniowy. Nawet wszechwładna moda zaleca kobiecie stroje, któreby nieskrępowanemu ciału rozwijać się pozwalały, a i do skóry męskiej się dobiera, propagując zmianę ubrań na wygodniejsze i bardziej higjeniczne.

Zdrowo myśląca większość społeczeństwa pochwala wszelkie objawy troski o zdrowie fizyczne.

Można dyskutować, czy pożądany jest przerost zainteresowań w kierunku fizycznego podniesienia narodu, kosztem zainteresowań intelektualnych.

Ale nie można negować potrzeby ruchu, powietrza i słońca, szczególniej gdy chodzi o młodzież, zagrożoną gruźlicą, skazaną już w zaraniu jej życia na niedostatek, na fatalne nieraz warunki bytowania.

A jednak... Istnieją malkontenci, którzy w dążeniu człowieka do zdrowia i tężyzny fizycznej dopatrują się załamania... moralności. Był czas, kiedy gorszyły ich krótkie ubranka u nieletnich dzieci. Potem zrzymali się na widok odsłoniętych ramion kobiecych. Dziś przerażeniem ogarniają ich kostjumy sportowe i gimnastyczne u dziewcząt, przedewszystkiem szarawarki są, ich zdaniem, za krótkie. Widzą w nich „zarazę niemoralną".

Niedawno, w pewnem mieście, nauczyciel religji, widząc uczenice idące w kostjumach gimnastycznych na lekcję wychowania fizycznego, zakrył oczy rękoma i wołał: „Dziewczęta, nie wódźcie mnie na pokuszenie".

Niedawno pewien kościelny dygnitarz, potępił urbi et orbi udział młodzieży żeńskiej w święcie wychowania fizycznego, uważając, że w tem kryć się muszą rzeczy okropne.

A tymczasem, w obecności najwyższych dostojników państwowych odbywają się imprezy sportowe, w czasie których uczestniczki w kostjumach sportowych siadają na trybunach i nikogo nie gorszą. Może dlatego, że ludzie świeccy, grzeszni, nie są materjałem podatnym do tego stopnia na zgorszenie.

Nikomuby nie przeszkadzało, gdyby przeróżni, niepowołani stróże moralności, gorszyli się w głębi swych dusz i ciszy czterech ścian — i na boiska sportowe nie zaglądali, by grzesznych pokus nie prowokować.

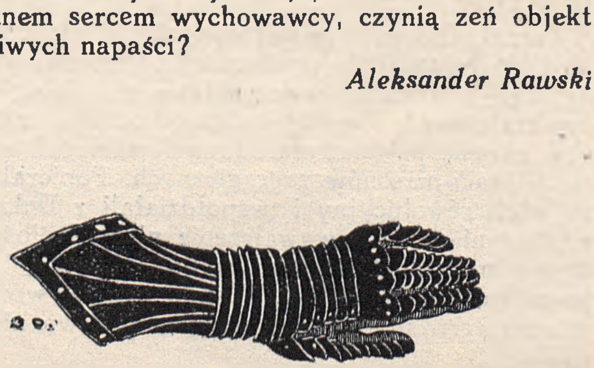
A już, żadną miarą, nie wolno rzucać kamieniem obrazy w młodzież, dlatego tylko, że jakiś świętoszek nie umiał dojrzeć w ćwiczących się dziewczętach dzieci i tylko dzieci.

Wydawaćby się mogło, że istotnie wśród młodzieży szkolnej dzieją się rzeczy skandaliczne, że postępowaniem swem daje ona powody do zgorszenia. A tymczasem okazuje się, że powodem lamentacyj klerykalnych są tylko szarawarki dziewczęce, sięgające— o zgrozo! — zaledwie „do połowy łydek".

Czy niemoralnymi nie są właśnie ci, którzy nie umieją spojrzeć na człowieka, jako na najdoskonalszy twór natury, i którzy, patrząc nań przez pryzmat dogmatu o grzesznem pochodzeniu człowieka, nawet w dziecku, dopatrują się jakichś najniższych instynktów i skłonności?

I czy można powierzać opiekę moralną nad dzieckiem tym, którzy rzucają w nie kamieniem obrazy, którzy zamiast wychowywać je, doskonalić i kochać szlachetnem sercem wychowawcy, czynią zeń objekt obrzydliwych napaści?

Aleksander Rawski



NAJNOWSZE KSIĄŻKI

LEKCJA SYNTEZY*)

Czytanie Norwidowych utworów porównać można zgrubsza do podróży ciemną nocą po wyboistej polskiej drodze. Niema mowy o potoczystym asfalcie rytmu myśli — droga wiodąca poprzez krainy Norwida wymaga nakładu cierpliwości i trudu, — słowa układają się przy sobie, jak kamienie i wyrwy, co wywołuje nieustanny wstrząs uwagi czytelnika. Już nader wielu czytelników zastanawiało się poważnie nad tem, czy wogóle opłaci się trząść i tłuc po niewygodnych Norwidowych gościńcach, innemi słowy, czy krajobrazy, otaczające te gościńce są dość piękne, by warto narażać się na trudy żmudnej podróży. Wielu też z tych, którzy ostatecznie zdecydowali się na jazdę, zawróciło z połowy drogi, nie zaznawszy ani uncji czaru nocy Norwidowej. Poprostu trudna forma zasłoniła im treść, treść w gruncie rzeczy łatwą, łatwiejszą od tysiąca innych treści, które dzisiejszy kulturalny czytelnik rozgryza bez trudu.

W czasach naszych, gdy popularyzatorzy kultury pobudowali elektryczne kolejki, wiodące szybko i bez wstrząsu na szczyty myśli, szczególny posiada czar i szczególną wartość stąpanie poomacku wąską, stromą i wyboistą ścieżyną artysty, który, jak ów przysłowiowy kot z bajki Kiplinga, zwykł chodzić własnemi drogami. Może już zbytnio nam cięży analityczna skłonność naszych czasów, może zmęczyły się już nasze oczy ciągłem wpatrywaniem się w pędzący korowód zjawisk, — nagich, prześwietlonych nawskroś oślepiającym blaskiem dnia, — dość, że nabrawszy koniecznej wprawy w odczytywanie Norwidowych hieroglifów, czujemy się dobrze w chłodzie i w mrocznym gąszczu jego nocy syntetycznej.

Mało który z autorów polskich umie tak, jak Norwid uczyć czytelnika — być człowiekiem. Od Goethego inny i od Whitmana inny, posiada Norwid swoją własną formę, swoje własne podejście do człowieczeństwa. Najbardziej katolicki z naszych wielkich romantyków, wolny jest przecież Norwid najzupełniej od modnego dziś grzechu narodowego sekciarstwa. Przeciwnie, bierze nasze ręce i ciągnie za sobą w ogólnoludzkie głębie chrześcijaństwa, zamieszkałe przez ewangieliczne istoty o gołębich sercach i oczach węża, promieniujące miłością i rozumem. Norwid-myśliciel, Norwid-człowiek wrósł:

„Tam, gdzie jest *Nikt* i jest *Osobą:*
— Podzielni wszyscy, a cali!...
Tam miljon rzęs, choć jedną łzą pokryte,
Kroć serc łkających: *„gdzie Ty?"*
— Tam stopy dwie gwoździmi przebite:
uciekające z planety"...

Norwid-artysta jest przedewszystkiem dla twórców, dla artystów. W dzisiejszej epoce tworzenia wielotomowych tasiemców i kiełbas literackich, w epoce czynienia z tematu oceanu dziwów i niezwykłości, tom Norwida na warsztacie pracy — to znakomite memento nadciągającej przyszłości. Lata powojenne oddaliły nas od tego poety, lecz oto znów wahadło tęsknot artystycznych zawraca ku syntezie, by wyrazić w niej to, czego dotychczasowe starania nie zdołały wypowiedzieć, to, co dotychczas było *przemilczone* w artystycznej twórczości pokoleń.

Norwid — to najbardziej świadomy artysta polski, a zarazem jeden z nielicznych możnowładców formy syntetycznej. Każdy z jego genjalnych aforyzmów każe o sobie myśleć dłużej i owocniej, niż cała masa subtelnych analitycznych powieści. Jednem słowem, wplecionem kursywą w wiersz, zarzuca Norwid opończę na cały świat okoliczny i hypnotyzuje czytelnika jednem słowem świecącem niby gwiazda śród ciemności.

Warto wyuczyć się mowy Norwidowej, trudniejszej od stenografji i bardziej tajemniczej od hieroglifów, — warto trząść się i podskakiwać śród wyrw i kamieni Norwidowego słowotworu. Cała masa przygód psychicznych czeka czytelnika na kartach nowowydanego zbioru wierszy Norwida, — przygód owocnych, płodnych, każących myśleć o sobie, każących myślom rosnąć w mroku gwiezdnej nocy, a duszy rozszerzać się i odradzać.

Zanim na niwie syntezy posiejemy to, co dotychczas było *przemilczone*, musimy przyswoić sobie psychicznie, co i jak wypowiedziane już było w dziedzinie naszej sztuki narodowej. Przedewszystkiem nasuwa się na myśl spuścizna Norwida, jako znakomita lekcja umiejętności syntetycznego splatania idei i wrażeń w jedno ognisko Nowej Treści.

J. K.

*) „Cyprjana Norwida Poezje Wybrane z całej odszukanej po dziś dzień spuścizny poety". Ułożył i przypisami opatrzył Miriam. Warszawa, 1933. Wydawnictwo J. Mortkowicza

WYSTAWA BOGÓW

Współczesną literaturę znamionuje realizm posunięty do reportażu, a nieraz aż do sensacyjnej plotki. Zdawałoby się wobec tego, że na powieść z pewnemi cechami symbolizmu, a w dodatku w tonie swym nieco niesamowitą niema dziś miejsca. Kłam temu zadał Czesław Straszewicz swoją *„Wystawą bogów"*, (Tow. Wydawnicze w Warszawie), raz jeszcze stwierdziwszy, że w sztuce rozstrzyga talent, a nie moda estetyczna i jej nakazy.

„Wystawa bogów", to pięć nowel o wspólnej więzi ideowej, związanych ze sobą tajemniczą postacią Chińczyka Wan-Ho.

Akcja tych nowel toczy się w różnych miejscach kuli ziemskiej, przyczem autor czuje się zarówno swobodnie wśród śniegów północnej Rosji, jak pod rozpalonem niebem Afryki.

Wrażenie ciągłej zmiany podnosi również to, że autor rzuca przed oczy czytelnika coraz nowe obrazy. Kreśli je kilkoma grubemi i barwnemi plamami i jakby zadyszany pędzi dalej.

Kalejdoskop zdarzeń i kolejdoskop jaskrawych a mocnych w kolorach obrazów jest najistotniejszą cechą oryginalnej techniki debjutującego pisarza. Ta rozmaitość obrazów splata się jednak nastrojowo w całość i daje jednolity wizerunek współczesnego życia.

Straszewicz odczuwa je jako widowisko przykre, dławiące, niemal koszmarne. Charakterystyczną, zwłaszcza pod tym względem, jest ostatnia nowela p. t.: „Wystawa na wyspie Margeryty". Z wielką pasją i zawziętą ironją gromadzi nam tu autor cały szereg tragedji, które wyrastają na podłożu przesądu, lub fanatycznej wiary bez cienia tolerancji. Ofiarą

fanatyzmu i zbrodni bolszewickiej jest Nadieżda Popowa, ofiarą tępego antysemityzmu Róża Szilagyi... Stara Marja Radke wysłuchuje codzień niezrozumiałe mamroty swego syna, inwalidy wielkiej wojny, od lat leżącego bez ruchu, ale marzy o krucjacie w imię krzyża przeciw bolszewikom i drugiemu swemu synowi wpycha w rękę rewolwer na walkę.

Ze wszystkich osób, występujących w powieści, jeden Wan-Ho potrafi się uśmiechać. Jest to postać potraktowana symbolicznie, a mająca wyrażać tolerancję i wrażliwość na ludzkie cierpienie bez względu na to, kto i gdzie cierpi.

Wan-Ho jest handlarzem bogów, t. j. wizerunków i posągów bóstw. Urządza ich wystawę, ale fanatyzm tłumów nie może ścierpieć poszargania świętości i tego, że bóstwo prawdziwe umieszczono na wystawie obok bóstw fałszywych. Wystawa zostaje podpalona, a naprzeciw siebie stają dwa zfanatyzowane gotowe do walki tłumy: wierzących katolików i komunistów... Bogowie spłoną, ale fanatyzm pozostanie i będzie dalej szerzył spustoszenia, utrudniał życie i zamieniał je w koszmarny sen.

Piękna, ale smutna i beznadziejna książka!

J. Waśniewski

DONIOSŁY EKSPERYMENT PEDAGOGICZNY

Od wieków chyba bolączką każdej szkoły jest pewna nieufność i podejrzliwość, jaka panuje między nauczycielem, a uczniami. W walnej mierze przyczynia się do tego fakt, że nauczyciel musi oceniać pracę i zdolności ucznia na podstawie subjektywnych spostrzeżeń. Zmieniały się i zmieniają metody nauczania i wychowania, ale ocenianie uczniów pozostało nienaruszone bodaj od czasów średniowiecza. Mały kieszonkowy notesik i ołówek nauczyciela, śledzącego bystro klasę, by „nie podpowiadano", jest symbolem subjektywizmu i niewiele różni się od średniowiecznej rózgi. Jakie stąd rodzą się nieporozumienia a nawet tragedje, świadczą wypadki przy końcu każdego roku szkolnego, przypieczętowanego niemal z reguły śmiercią samobójczą młodych istnień.

W interesie tedy nietylko szkoły, ale całego społeczeństwa leżałoby wynalezienie takiej metody oceniania pracy uczniów, gdzie czynnik subjektywny odgrywałby możliwie minimalną rolę. Jak się zdaje, już wkroczyliśmy na tę drogę. Nowa metoda przywędrowała do nas z Ameryki, a na gruncie polskim zastosowaną została od początku bieżącego roku szkolnego w Gimnazjum im. M. Kryńskiego.

Dyrekcja tego gimnazjum urządziła wystawę, poświęconą tej metodzie, którą nazwać można *objektywizacją ocen.* Otwarcie wystawy poprzedziła konferencja prasowa, podczas której dyrektor gimnazjum p. M. Kryński wygłosił bardzo ciekawy referat: „Objektywizacja ocen szkolnych, jako zagadnienie społeczne".

Nawiązując do nowej ustawy szkolnej, p. Kryński stwierdził, że podstawową jej tendencją jest dążenie „do wydobycia i wyzyskania w stopniu maksymalnym bogactw duchowych, tkwiących w narodzie". Na podstawie wchodzącej w życie ustawy, szkoła będzie miała obowiązek dokonywania kilkakrotnej selekcji materjału uczniowskiego, a to po ukończeniu szkoły powszechnej, po ukończeniu gimnazjum, wreszcie po ukończeniu liceum.

W tem świetle jaskrawo występuje na jaw konieczność ścisłego objektywizmu przy ocenianiu postępów młodzieży. Aby uwypuklić całą doniosłość zagadnienia, dyrektor Kryński powołuje się na następujący eksperyment. Swego czasu wysłał do 100 gimnazjów wypracowanie klasowe ucznia klasy ósmej z prośbą o ocenę tej pracy przez nauczycieli matematyki. Rezultat był następujący: dwóch nauczycieli oceniło pracę jako dobrą; trzech — prawie dobrą; trzydziestu dziewięciu jako dostateczną z różnemi odchyleniami (zupełnie dostateczna, ledwie dostateczna i t. p.); ośmiu jako niedostateczną. Gdyby tu chodziło o końcową pracę maturalną, to w krańcowych wypadkach jedni uczniowie nie mogliby być wogóle dopuszczeni do egzaminu ustnego — inni zaś otrzymaliby świadectwo szkolne z oceną dobrą. Oto wymowny przykład jaką rozpiętość posiadają oceny przy systemie subjektywizmu.

Gimnazjum im. M. Kryńskiego wprowadziło przy ocenianiu postępów uczniów t. zw. system testów przedmiotowych. Krótko powiedziawszy, tekst jest to szereg pytań lub zadań tak skonstruowanych, że odpowiedzi mogą być tylko dobre lub złe. Ocenę wyprowadza się na podstawie procentowego obliczenia odpowiedzi. Daje to gwarancję zupełnego objektywizmu i tutaj tkwi wielka doniosłość ogólnospołeczna nowej metody.

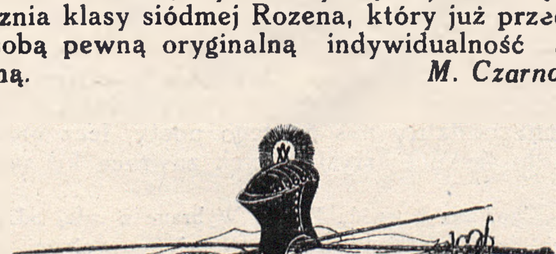
Nietylko zresztą na tem polega rola testów. Właściwe stosowanie ich wpływa na wydatne wzmożenie pracy w szkole i na jej wydajność, co wyraża się w zwiększeniu się ilości ocen dobrych, a zmniejszeniu niedostatecznych Jeśli cechą współczesnych czasów jest dążenie do intensyfikacji pracy, to i tutaj eksperyment testów okazał, że wykracza daleko poza granice czystej pedagogiki, a staje się zagadnieniem społecznem.

Oczywiście, że zupełne wyeliminowanie subjektywizmu w ocenianiu ucznia przy dzisiejszym stanie rzeczy, nie jest jeszcze możliwe — zwłaszcza w naukach humanistycznych. W każdym razie eksperyment jest bardzo doniosły i zasługujący na uwagę.

Prócz testów, wykresów, eksponatów i t. d. wystawa zawierała dużo prac artystycznych uczniów i urządzona była z wielkim smakiem artystycznym. Z pośród obrazów, wyróżniały się dojrzałością prace ucznia klasy siódmej Rozena, który już przedstawia sobą pewną oryginalną indywidualność artystyczną.

M. Czarnowski

Obrona masonerji na łamach „Epoki" ma na celu przeciwstawienie się jednemu z największych, już historycznych, kłamstw, szerzonych przez demagogów i oszczerców. I w tej również sprawie, jak w wielu innych, trzeba oczyścić atmosferę moralną, rozproszyć mgłę ciemnoty, odeprzeć zarzuty, płynące ze złej woli. Oszczercze ataki na masonerję pozostawały u nas od wielu lat bez odpowiedzi, co zapewniało kłamcom i plotkarzom całkowitą bezkarność i swawolę. Czas udowodnić, jak niecnie oszukiwali społeczeństwo.



TEATR

»PTAKI« B. ZIMMERA, WEDŁUG ARYSTOFANESA. TRANSKRYPCJA JULJANA TUWIMA, TEATR POLSKI

Prawdziwy teatr. Radość dla oczów i uszów, uczta kolorów i dźwięków. To walor w tem widowisku naczelny. Bo sama satyra — wesoła, przyjemna, ale przecież prymitywna. Chodziło najwidoczniej, zwłaszcza w transkrypcji Tuwima, nie o jakiś groźny „bicz satyry", ale o zabawę. Fetyszów militaryzmu, nacjonalizmu, klerykalizmu, biurokracji i t. d.—nie wali się tu obuchem, ale daje im się pstyka w nos. To jest, naturalnie „impertynencja", na którą gniewają się recenzenci pism klerykalnych. Woleliby, oczywiście, satyrę na wolnomyślicielstwo, na demokrację, na pacyfizm, choćby najbardziej brutalną. Nie raziłaby wówczas ich „estetycznego" smaku.

Ale cóż robić? Arystofanes też był bardzo nieuprzejmy. „Ptaki" były dwadzieścia cztery stulecia temu satyrą niepomiernie ostrzejszą, niż transkrypcja Tuwima w stosunku do spraw dzisiejszych. Przeróbka Tuwima jest raczej łagodnym uśmiechem, niż gniewnym protestem.

Mylą się również ci recenzenci, którzy zarzucają Tuwimowi wypaczenie Arystofanesa przez wycieczki antywojenne. Tłomaczą, że Arystofanes przeciwstawiał się nie wojnie wogóle, lecz wojnie Greków przeciw Grekom. Nieporozumienie. A mówiąc szczerzej—brak wiedzy historycznej. Pojęcia dzisiejsze narodowości i państwowości to dopiero owoc i zdobycz XIX stulecia. Arystofanes tak samo gorszył i oburzał obywateli Aten, jak dziś najskrajniejsi śmiałkowie.

W rozmowach, pokrzykach i chórach ptaków mistrz „słopiewni" bawi się dźwiękami mowy polskiej genjalnie. Ptaki mówią swojemi dźwiękami, ale mową ludzką. Efekt — zadziwiający. W połączeniu z muzyką — rozkoszny. Kostjumy— skomponowane przez Władysława Daszewskiego — przepiękne. Cały zespół gra wyśmienicie.

Oto widowisko godne ujrzenia!

***

W transkrypcji Tuwima pozostała tylko część postaci z „Ptaków" Arystofenesa. Część znikła, niektóre przybyły. Szkoda, że znikł, między innymi, nieśmiertelny, również dziś „aktualny" sykofant, donosiciel, oszczerca i „zwadołowca". W jednej z końcowych scen „Ptaków" sykofant przybywa do Peisthetajrosa i prosi o przyprawienie mu skrzydeł. Bardzoby mu się przydały w tym zawodzie. Peisthetajros usiłuje nawrócić sykofanta na drogę pracy uczciwej:

„Są przecie mnogie, uczciwe zawody,
z których człek prawy łacno wyżyć może,
lepiej i zacniej, niźli z prawokręctwa".

Ale sykofant nie chce morałów, lecz skrzydeł. Peisthetajros pragnie go tedy „uskrzydlić słowy":

„Gdyż słowy duch nasz podniesion w etery,
unosi ze sobą człowieka. Tak chciałbym
ciebie uskrzydlić zacnem słowem ninie,
byś ostał prawym."

Sykofant o takich „skrzydłach" nie chce słyszeć. Więc postanowił Peisthetajros:

„Dalibóg, mam tu parę skrzydeł,
jakich ci trzeba: iście kerkyrajskich".

Wziął korbacz z dwóch rzemieni spleciony i zaczął okładać nim sykofanta, mówiąc:

„Leć-że! Otoś uskrzydlony!
Zwiej mi stąd zaraz, łotrze zatracony!
Oto twe zyski z prawokręcidraństwa."

Tak dziś, jak przed tysiącoleciami: dla jednych „słowo uskrzydlające", a dla drugich — pletnia...

J. W.

»ZABAWKA« ZYGMUNTA HOFMOKL-OSTROWSKIEGO W TEATRZE KAMERALNYM

Bohater tej sztuki, adwokat Wiktor Krogulski, dobrze ujmuje różnicę istotną, jaka zachodzi pomiędzy postawą obrońcy, a postawą sądu wobec każdego przestępstwa. Troską pierwszego jest sprawa jednostki, drugiego zaś — interes zbiorowości. Stąd — zasadniczy konflikt. Zdawało się, że motyw takiego konfliktu będzie sensem ideowym utworu p. Hofmokl-Ostrowskiego. Niestety, sens ów zagubił się w komplikacjach innej zgoła natury. Bo adwokat Krogulski jest niepohamowanym erotomanem i niestrudzonym uwodzicielem. Autor demonstruje nam „filozofję życiową" — jakże znaną i banalną — tej nieinteresującej donżuanerji. Mamy tu obszerny wykład o strategji erotycznej. Wykład ciężki, nużący, rezonerstwo zabójcze. Przed każdym pocałunkiem — kilka „wyjaśnień" i aforyzmów. Przed każdą pieszczotą — odczyt o prawach zmysłów, o potrzebie zapomnienia, o złudzeniu, o tęsknocie i t. d. Straszna byłaby to rzecz, gdyby się ludzie w ten sposób kochali.

Pasją gadatliwości opanowana jest również kochanka adwokata, Jadwiga Zadębska. Ta też jest w romansie nadewszystko — prelegentką. W każdej, nawet najbardziej intymnej sytuacji — przemowa, wywód „ideowy", lekcja „wyzwolenia". W scenie, kiedy Zadębska „wyjaśnia" adwokatowi, że powinien ją posiąść, jej elokwencja staje się katastrofalna: nad „szkicem dramatycznym" — jak nazywa autor swą sztukę — bierze górę mimowolny humor. Dlatego tak często w chwilach najgroźniejszych rozlega się wśród publiczności śmiech. Często się to zdarza w teatrze, że autor i reżyser nie przewidują niezamierzonego, ale przecież nieuniknionego w takich razach efektu. Miało być wrażenie „wstrząsające", a tu publiczność się śmieje. W sztuce p. Holmokl-Ostrowskiego dało się to przewidzieć. Zadziwia nas nierozwaga autora i nieodpowiedzialność reżyserji.

Jadwiga Zadębska lubi zabijać. Raz zabiła dlatego, że została zgwałcona, drugi raz za to, że niedoszły kochanek nie chciał jej posiąść i oddać się w jej niepodzielne władanie. Przed otruciem adwokata i już po otruciu — jeszcze jeden odczyt o tem, że nie należy „bawić się" kobietą, która kocha; że kobieta to nietylko ciało, ale i dusza; że miłość to nietylko zmysły; że... no dosyć tych rewelacji!

Dobry, kulturalny aktor p. Antoni Różycki, miał ciężkie zadanie. Ale jakoś mu szło. Żałosną szczebiotkę świetnię zagrała p. Irena Denelówna. P. Ewa Kunina musiała również odbyć mękę rezonerstwa, które jednak w ustach tak utalentowanej artystki było łatwiejsze do zniesienia. Dziwnemi sposobami szukała efektów artystka, grająca rolę Jadwigi Zadebskiej. W akcie 3-cim ukazuje się w stroju — powiedzmy — frywolnym, całkowicie przeczącym charakterowi tej postaci.

J. W.

Ś. P. WŁODZIMIERZ WAKAR

Ś. p. Włodzimierz Wakar, urodzony w r. 1885 w Tambowie, studjował w Genewie, Warszawie i Petersburgu. Na okres studjów na uniwersytecie warszawskim przypada czas strajku szkolnego. W walce o szkołę polską grał czołową rolę. Po ukończeniu wydziału prawnego uniwersytetu petersburskiego poświęcił się działalności pedagogicznej, umieszczając liczne prace z tego zakresu w specjalnych czasopismach. Z tego też czasu datują się dwie większe prace: „Oświata publiczna w Król. Polskiem 1905—1915" i „Sto lat walki o oświatę polską". Jednocześnie publikował prace z zakresu demografji i statystyki.

W r. 1916 objął ś. p. Wł. Wakar stanowisko dyrektora Biura Pracy Społecznej. Na terenie tej instytucji potrafił skupić szereg wybitnych działaczów. Instytucja była kuźnią pracy nad podstawami programu terytorjalnego Polski, tu powstał projekt ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego, tu wrzała praca nad zagadnieniami samorządu, podziału administracyjnego, ustroju szkolnego i t. d. Jednocześnie ś. p. Wakar, redagował nielegalną (za czasów okupacji niemieckiej) „Polskę" i pisał wielkie, trzytomowe dzieło p. t. „Rozwój terytorjalny narodowości polskiej".

W r. 1919 ustąpił ś. p. Wł. Wakar z Biura Pracy Społecznej i założył Instytut Gospodarstwa Społecznego, na którego czele stanął jako dyrektor. Ponadto założył czasopismo „Przymierze", propagujące sojusz narodów, które odzyskały państwowość na gruzach dawnych państw zaborczych.

Jednocześnie oddawał się ś. p. Wł. Wakar w dalszym ciągu pracy naukowej, wykładając demografję w Wyższej Szkole Handlowej. W tym samym czasie zajmował się tworzeniem centralnej reprezentacji samorządu terytorjalnego, organizując Związek Sejmików Powiatowych, którego został prezesem. W r. 1924 wydał ś. p. Wł. Wakar wyczerpaną obecnie większą pracę p. t. „Zagadnienie samorządu Rzeczypospolitej Odzyskanej", a szereg problemów z tego zakresu oświetlał pozatem na łamach redagowanego przez siebie „Samorządu".

W latach następnych ś. p. Wł. Wakar porzucił czynną pracę na polu społecznem i całkowicie poświęcił się działalności publicystycznej i naukowej. Z tego okresu pochodzi praca „Doświadczenie i błędy naszej polityki zagranicznej" (wydane pod pseudonimem „Consulibus"). Plonem ostatnich lat pracowitego życia ś. p. Wł. Wakara jest mnóstwo, rozrzuconych po specjalnych pismach, prac z zakresu ekonomji i statystyki.

Na jesieni ubiegłego roku rozpoczął wydawanie „Przeglądu Wschodniego", pisma, poświęconego badaniu zagadnień społecznych, gospodarczych i kulturalnych Związku Sowieckiego, oraz idei zacieśnienia stosunków między Polską, a naszym wschodnim sąsiadem. „Przegląd Wschodni" ze względu na wysoki poziom, nadany mu przez zmarłego, z pod którego pióra wychodziła lwia część artykułów i notatek, oraz dzięki objektywizmowi w informowaniu opinji polskiej o stosunkach sowieckich, zjednał sobie powszechne uznanie.

Ciężka choroba serca przecięła nić życia ś. p. Włodzimierza Wakara, człowieka o wielkich zasługach, wybitnym umyśle i niezwykle prawym charakterze.

Cześć Jego pamięci!

DZIKI KSIĄDZ

(FRAGMENT)

12 kwietnia. Coraz mniej wrogów ma we mnie mój pamiętnik. Skłaniam się ku niemu, zniewolony siłą jakowąś przemożną. Tak się skłaniam, jak człowiek chory skłania się w omdlenie, albo jak cichy przezroczysty wieczór skłania nas do modlitwy. Przeczytałem dzisiaj moje wczorajsze wyznania i było bardzo dziwnie, — czułem się kimś innym od tego, który je pisał i zdało mi się, że znowu mnie otacza słodka duszność i mrok konfesjonału, i że słucham początku czyjejś długo więzionej spowiedzi.

Taksamo ciemno dzisiaj jest i duszno i słodko i cicho, jak bywało zawsze, gdy ktoś, skradając się, przyklękał i w serce moje naroścież otwarte naszeptywał prośbę o pozwolenie na grzech, o pozostawienie w grzechu... Poza wątłą ścianką z drzewa, poza kratkami z patyków, słowa tych ludzi taksamo były rozpaczliwe, tak samo błagające, żebrzące, spłakane, jak dzisiaj moje. Drżałem podówczas, jak i dzisiaj drżę na całem ciele na widok grzechu ukochanego nad życie, grzechu — powietrza, grzechu — pożywienia, grzechu — ratunku... W obliczu takiego grzechu czerniał jeszcze posępniej mrok kościelny, a cisza rosła, rozpościerała nad nami ramiona, odgradzała nas od świata własnem ciałem i poprzez kratkę z patyków łączyło się nas dwoje w jedność...

Czemże ja się wtedy modliłem, — oddechem?... Z za ścianki z desek wołał do mnie grzech o pozwolenie, o sankcję, o rozgrzeszenie na przyszłość, — ukazywał nieodzowność swoją, ogrom, moc... Niekiedy była to smutna występna miłość, niekiedy sroga nienawiść z krzywdy wypływająca, z cierpienia za niepopełnienie win. Miotała się kołomnie, przerażała słusznością, a ja... czemże z nią walczyłem?!...

Czasami długo walczyłem, czasami krótko, lecz zawsze przed zwycięstwem od końca palców u nóg przebiegał mi po ciele jęk radosny... Różnił się tylko radością od jęku za kratkami, który był wstydem i żalem... pożegnaniem grzechu, jękiem pokuty...

Jest Wielki Czwartek. Samemu sobie się spowiadam, lecz jęku brak. Jestem pierwszym grzesznikiem, któremu moje kapłaństwo odmawia rozgrzeszenia. Dziwne to, bo ja wcale nie kocham ani świeckości mej, ani niewiary. Dopóki byłem księdzem, kochałem Boga, — dzisiaj nikogo nie kocham, — jestem pusty i czczy... Och jakże zimne, jakże wyrachowane jest moje pragnienie, by tak jak u ludzi — było u mnie!...

24 kwietnia. Tomasz jest profesorem psychologji na Uniwersytecie w W. i Tomasz ma dziecko. Ta-

dzik na szczęście nie odczuwa zupełnie, że jest stałym objektem obserwacji ojcowskiej i bohaterem bardzo trudnej i mądrej książki o dziecku, która dopiero po latach ma wyjść, gdy już chłopiec ostatecznie przejdzie w okres pokwitania. Napozór żadnej uwagi nie zwraca ojciec na syna, to też, gdy raz pokazał mi gruby bruljon notatek, nie mogłem dość nadziwić się, z kąd on to wziął, w jaki sposób zdołał podpatrzeć.

Znam tedy Tadzika od strony ojcowskich spostrzeżeń i mimowoli teraz śledzę za nim wzrokiem, lub nadsłuchuję, co on robi i jak. Z początku zrozumieć nie mogłem pozornej obojętności, z jaką Tomasz odnosi się do syna, lecz teraz wiem, że nie może być inaczej. Obserwacja naukowa — to jest trudna gra, — można widzieć, lecz nie można dać poznać, że się patrzy. Ach, Tomasz, — on to robi świetnie!

Ze mną w domu było zupełnie inaczej, — nie tylko, że przez cały dzień czułem na sobie czyjś wzrok, lecz pamiętam, budziłem się często w nocy od ciężaru matczynego spojrzenia. Nie wyśpiewałem, nie wybiegałem z siebie mego dzieciństwa, nie wyżyłem w zabawie, ale kryłem się z niem, ukrywałem przed oczami starszych, którzy umieli nazbyt chętnie dziwować, albo śmiać się nademną. Dlatego pewnie jeszcze dziś czai się czasem we mnie dziecko, — taki mały nieśmiały i nieufny chłopiec na dnie.

Bezpiecznie i beztrosko promieniuje nazewnątrz z Tadzika to, co we mnie było do wewnątrz wepchnięte. Zeszedłem dziś do jadalnego trochę zawcześnie na kolację i stanąłem na progu w niemym podziwie na widok zapału, z jakim Tadzio rysował wpółleżąc na stole i jaskrawo widoczny pod lampą, — z rumieńcami na policzkach, z językiem na brodzie i ze złotą rozbestwioną czupryną, w którą wchodziły raz po raz wzburzone, niespokojne od kłopotów palce.

Dobrze musiał słyszeć, że to ja zeszedłem ze schodów, bo nie patrząc wykrzyknął: — Prędzej, prędzej, wujciu Sebastjanie!... nie mogę narysować ramienia!...

Muszę zaznaczyć, że teraz właśnie, w ósmym roku życia, sposobi się Tadzio na malarza, — jak podobno wiele dzieci w tym wieku. Uparł się, że będzie malarzem, a mnie czegoś smutno od myśli, że pewnie nigdy nim nie będzie, — jak i większość dzieci...

— Nie możesz narysować? a komu ramię potrzebne?

— Dziewczynce.

— A jaką dziewczynkę rysujesz?

— Eee, nijaką, taką sobie, z myśli...

Nie była to dziewczynka z myśli poczęta, ale przyszła pewnie do myśli z galerji obrazów, dokąd tak pochopnie, tak beztrosko ciąga Tadzika Tomasz co niedziela. Już miałem się oburzyć, ale dałem spokój i, przeciwnie, zapytałem zwyczajnie: — No, a jak się nazywa taka dziewczynka bez kapelusza, bez bucików i bez koszuli?

— Akt!... ale może być przecie i akt w kapeluszu, — prawda, wujciu?...

— Może i może, — nie bardzo znam się na tem... No, ale pokaż ramię!

Smutna to była dziewczynka, — pierś miała jak pończochę, nogi jak patyki, stała profilem i w jednej ręce trzymała doniczkę z kwiatem, lecz to jedyne widoczne ramię tak było zrobione, jakbyś patrzał en face, — poprostu garb z tyłu za plecami. Ustawiłem się odpowiednio i powiedziałem: — Popatrz na mnie, — widzisz? Ja przecież nie mam ramienia z tyłu za plecami, ale między linją pleców i linją piersi, na środku, widzisz?... No, popraw teraz.

Ale chłopiec nie spieszył się z poprawką. Wpółleżąc na jadalnym stole, oparł brodę na pięści i patrzał. Potem spytał: — Wujciu także rysował?... i malował też?...

— Malowałem, a jakże! Akwarelę i pastel...

— Wujciu pokaże! mój wujciu!

— Co ty znowu! ja przecież nie chowałem tych obrazków!

Djabeł, napewno djabeł chciał, bym w tej chwili do Tadzika przysiadł się i gadał o moich dziecięcych rysunkach, które tę miały przewagę nad innemi dziecięcemi, że były pożyteczne, dobroczynne...

— Dlaczego dobroczynne? nie rozumiem!... zaperzył się z przejęciem Tadzik.

— Widzisz, Tadziku, to było tak... Wszystkie papiery od pakowania sprawunków, ale tylko takie czyste, nie gazety, zbierała dla mnie moja matka, — potem prasowała te rozmaite papiery, zszywała w książkę, a ja albo rysowałem na kartkach, albo nalepiałem rozmaite obrazki, wycięte z niepotrzebnych pism ilustrowanych...

— No i co?

— Do każdego obrazka, nawet nie mojego, musiałem ładnie napisać u spodu albo wierszyk, albo historyjkę... Od tego się zaczęło...

— Co się zaczęło? co?

— Nie, nic się nie zaczęło, tylko, że jak już cała taka książeczka miała na wszystkich kartkach obrazki i wiersze, wówczas moja matka dawała ją biednym dzieciom do zabawy... do szpitalików dziecięcych...

— Ależ to świetnie!... Dzieci miały uciechę!...

— Pewnie, pewnie, Tadziku, chociaż nie wiem, nigdy nie widziałem tych dzieci...

Na tem skończyła się nasza rozmowa o „malarstwie", bo usłyszałem w tej chwili, że Tomasz wszedł do przedpokoju. Nie chciałem jeść kolacji i na dobranoc rzekłem Tomaszowi: — Twój syn jest wielkim psychologiem. Tomasz zaśmiał się: — A cóż on ci takiego powiedział, ten smyk?

— Nie, nic mi nie powiedział, ale mi pomógł.

To jest prawda. Dzięki Tadzikowi znalazłem niemal cudownie takie jedyne wspomnienie, w którego szarej od zapomnienia głębi odnajduję pra - przyczynę mojego kapłaństwa. Agata Proch — to koniec, a chore nieznajome dzieci w szpitaliku — to początek. Miałem siedem lat, równo siedem lat, kiedy już byłem księdzem...

Tragicznie prosta jest powiastka wspomnienia o „dobroczynnej" książce. Nie pamiętam dokładnie wiele było tych książek, wykaligrafowanych memi wierszykami i ozdobionych również przezemnie. Wiem tylko, że jedną z tych książek,— może pierwszą, a może ostatnią, szczególnie mocno pokochałem w czasie roboty. Kiedy skończyłem i gdy nazajutrz matka oddała ją do szpitalika, cicho w ukry-

ciu płakałem sobie z żalu do poduszki, — nocą, gdy spał już cały nasz dom.

Ach tak! pamiętam, pamiętam!... Na pierwszej stronicy ukochanej „dobroczynnej" książki narysowałem płynącą rzekę, a pod spodem był wierszyk, który zaczynał się od słów: — *„wodo królewska — niebieska, ty żyjesz i wszystko myjesz..."* Płakałem w swojem wąskiem małem łóżku, opłakiwałem rzekę płynącą i wszystkie inne wiersze i obrazki, — aż tu raptem spokój na mnie spłynął i łzy cudownie przemieniły się na sen, na ciepłe wygodne i bezpieczne śnienie.

Tego chłopca, którego nigdy w życiu nie widziałem, nazwałem potem — Jaś. Ów Jaś leżał chory w szpitaliku i cieszył się moją książką, uczył się na pamięć swoich wierszyków i podziwiał głośno obrazki, a nocą, ciemną nocą klękał przed zaśnięciem i modlił się „za dobrego chłopca", to znaczy za mnie, na moją intencję... Słyszałem i widziałem jednocześnie jego ciche modlitwy, jak wzlatują, podobne do ptasząt, jak mkną prosto do nieba i jak ztamtąd wracają do mnie, — białe i bezgłośne, pobłogosławione uśmiechem Bożym.. Jaś, mały chory Jaś, chłopiec którego nigdy nie było, znów snuje sie dziś kołomnie, ale jest smutny. Każde wspomnienie jest smutne, a już najbardziej to, które odsłania pustkę. Dobieram się do niego, obejmuję i drżę, odrzucam jakoweś nakrycie, a oto zamiast ciała na pościeli, szept cichy: — „Mnie nigdy nie było"... Szept pustki...

Jaś był od modlitw radosnych przed zaśnięciem, natomiast w ciągu dnia powielekroć pukała mi do serca myśl nagła i spieszna, że oto Danusia cieszy się, Danusia klaszcze w rączki. Matka rozpromieniona chwaliła mnie przed gośćmi, że mam złote i święte serce, bo wszystkie stare i wszystkie nowe zabawki oddawać zacząłem biednym nieznajomym dzieciom do szpitalika. Opanowała mnie jakowaś manja wyrzeczania się wszystkiego, co mogło „tam iść", rozpętał się we mnie szał odzierania samego siebie z radości, jakiej źródłem jest każda rzecz własna. Kiedy dziś myślę o tem, widzę ognisko i widzę jak rzucam na spalenie wszystko, co mogło we mnie karmić instynkt posiadania. Szła zabawka za zabawką dla dzieci do szpitalika, a po każdej „dobroczynnej ofierze" nadsłuchiwało serce, czy to już.., czy to już Danusia klaszcze w rączki. Miałem karego konia na biegunach i długo wyrzec się go nie mogłem. Oddałem go nareszcie... w dzień moich imienin. Danusia, której nigdy nie było na świecie, głośniej i dłużej zaklaskała mi w sercu rączkami i to był najpiękniejszy imieninowy prezent. Tak, nieziemska Danusia była pierwszą moją ziemską miłością, podobnie jak Jaś był pierwszym przyjacielem.

Nie pamiętam, kiedy znikły mi z myśli dwa białe koło siebie stojące łóżeczka pełne modlitw i klaskanią rąk. Sądzę, że dość długo trwać musiała sugestja obecności Danusi i Jasia, — w każdym razie tak długo, aż nauczyłem się wierzyć nietylko we wzajemne oddziaływanie myślowe, ale i we wszechmoc myśli, we wszechmoc modlitwy, we wszechmoc miłości...

Czyż nie miałem racji, gdy napisałem, że od siódmego roku życia byłem już księdzem? Zeszłego roku skończyłem 37 lat, a zatem kapłaństwo moje trwało lat trzydzieści...

Boże! Boże! Trzydzieści lat magji dziecięcej!...

Jerzy Kornacki

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Niemcy przed rządami Hitlera dokonały na sobie aktu samosądu: takim aktem było uroczyste palenie książek na placu Opery w Berlinie i w wielu innych miastach Rzeszy.

Naturalnie przez ten akt barbarzyństwa nie zniszczono niehitlerowskiego piśmiennictwa. Zarówno Karol Marks, jak Barbusse, czy Betta Suttner, czy Coudenhove Kalergi, czy Tomasz Mann, czy Ludwig, czy Zweig, czy Einstein nie przestali z tego powodu istnieć. Więcej nawet, książki, których „okazowe" egzemplarze spalono pozostały przy życiu, w wielu egzemplarzach nawet w Berlinie. Jakiś spryciarz z pośród „nacjonal-socjalistów" po łobuzerskiej zabawie na placu odwiózł całe sterty wyklętych dzieł i schował, bo wie dobrze, że to jest kapitał, który nigdy nie straci wartości.

Narazie miejsce arcydzieł i prac wartościowych zajmie nudna szmira nacjonalistycznych pisarzy, których dotąd nikt za darmo nawet nie chciał czytać. Dotychczas nie zjawiło się przecież ani jedno nazwisko twórcy w zwycięskim obozie hitlerowców, bo nie można przecież zaliczać do sztuki tych kiczów szowinistycznych, które każe grywać codzień w teatrach „narodowa" dyrekcja, jak np. „Schlageter" (militarystyczna bujda z dziejów okupacji Zagłębia Ruhry).

Stosy płonące z d. 10 maja wypaliły na Rzeszy piętno hańby, które naród niemiecki zmyje w chwili, kiedy wydobędzie się z pod władzy swoich obecnych rządców.

Na indeksach cenzury bywały na świecie najlepsze i najtrwalsze dzieła ducha ludzkiego, nie pomniejszyło to w niczem, ani ich wartości, ani znaczenia. Natomiast pod pręgierzem zostawali zawsze twórcy indeksów i cenzur, pod pręgierzem podwójnym hańby i ośmieszenia. Z okazji berlińskiego indeksu „librorum prohibitorum" przypominają pierwszy indeks biskupa Valdesa — Wielkiego Inkwizytora. Indekst ten z rokazu jego następcy Quirogi znalazł się w spisie książek... zakazanych, ułożonym przez Sobór Trydencki w 1583 r.

A na indeksach późniejszych, wśród ksiąg palonych na stosach był i Erazm Rotterdamski i Kopernik. Po co wogóle wyliczać, bywało tam wszystko, co stanowi chlubę twórczości ducha ludzkiego.

Los dzieł ciemnoty jest zawsze jednakowy: im większy jest ich tryumf na razie, tem większe będzie później pohańbienie.

**

Z pod kurzu, dymu i krwi, rozlanej przez hitlerowców, doszły ostatnio do świata dwa słabe odgłosy życia partji socjal-demokratycznej w Niemczech: jeden z nich — to mowa wygłoszona przez przewodniczącego partji p. Otto Welsa na konferencji partyjnej w d. 26.IV, drugi — to zwrócenie się b. prezydenta Reichstagu, Loebego, do obecnego szefa t. zw. parlamentu p. Göringa.

P. Wels usiłował w przemówieniu swojem rozwiązać zagadnienie, na kogo spada cała odpowiedzialność za bezsilność socjal - demokracji w Niemczech.

Mówca rozstrzygnął sprawę, zrzucając cały ciężar tego grzechu na masę robotniczą. Przyznaje on, że były błędy i grzechy poszczególnych działaczów,

i że trzeba z tego wyciągnąć konsekwencje względem jednostek, ale głównym powodem całkowitej klęski jest jego zdaniem to, że „klasa robotnicza nie znalazła się na wysokości ogromnych zadań swoich czasów i rozłamała się wówczas, gdy jedność była bardziej nieodzowna, niż kiedykolwiek".

To tłomaczenie wydarzeń nie przynosi wielkiego zaszczytu p. Welsowi. Również nie zyskuje sympatji dla zwyciężonej partji pośpieszne, a gorące wyznanie, że „wprawdzie my socjaliści niemieccy jesteśmy internacjonalistami, ale nie przeciw własnemu narodowi, przeciwnie, przez miłość dla naszego narodu".

To wyznanie i tak nie przekona hitlerowców, nie zdobędzie dla socjalistów niemieckich żadnej ulgi w sytuacji, a sprawia wrażenie, jakby chodziło o odgraniczenie się od międzynarodowej organizacji socjalistycznej.

Honor polityczny mówcy ratuje kilka zdań poświęconych wskazaniom na dziś i na przyszłość.

„Nigdy żaden reżim rządowy — mówił p. Wels — nie trwał wiecznie. Socjaldemokracja nie może zrezygnować ze swojej opozycji ideologicznej przeciw tendencjom dziś panującym. Byłoby to rezygnacją nietylko w stosunku do współczesnego reżimu... Socjal - demokracja zachowuje przekonanie, że niema prawdziwego socjalizmu, bez wolności ducha i bez równych praw dla wszystkich obywateli".

Inny głos socjalizmu doszedł uszu świata od p. Loebe'go: chce on, aby otwarto lokal frakcyjny w Reichstagu i aby na posiedzenie, kiedy zabierze głos Hitler, wypuszczono uwięzionych posłów - socjalistów. Że chce uwolnienia towarzyszów, to jest zrozumiałe, ale, że ma to być dokonane dla dania im możności wzięcia udziału w demonstracji hurra - patrjotycznej na rzecz dozbrajania się Niemiec, a przeciw całemu światu, odrzucającemu takie „rozbrojenie", to już zaszczytu socjalistom nie przynosi. A nawet to właśnie tłomaczy słabość stanowiska partji, bo skoro podziela w gruncie rzeczy „narodowe" plany Hitlera - Neuratha - Papena, to czemże miała utrzymać przy sobie szerokie warstwy robotników i... bezrobotnych.

Na niepodległość Niemiec nikt, ale to literalnie nikt nigdzie nie nastaje, ale przywileju na gwałty i barbarzyństwa pod osłoną żelaznej pięści, też nikt ani chce, ani obowiązany jest im udzielać. A przecież o taki przywilej walczą „rozbudzone Niemcy" i taki jest sens zarówno ich polityki w Genewie, jak próbnych wypadków w Austrji i na terenie wolnego miasta Gdańska.

Tak jednomyślnie ocenia pozycję Niemiec cała opinja świata kulturalnego z pewnemi niesłychanie komicznemi przy zestawieniu wyjątkami. Są to organy pewnego odłamu opinji w Polsce, czasem odważnie, czasem wstydliwie tęskniące do przykładu z Brunatnego Domu, jest tu także zawsze nieoceniony p. poseł Mackiewicz, którzy w swoim entuzjazmie dojrzał nawet... wolną prasę polską na terenie Niemiec. Są tu wreszcie przedstawiciele carofilskiej emigracji rosyjskiej. I oni też są pełni zachwytu. Takie np. paryskie *„Wozrożdienje"* — organ monarchistów — pisze:

— Hitler i jego stronnicy podnieśli sztandar, który powinna była wznieść Liga Narodów. Niemcy samotnie muszą realizować wielkie zadanie... Niemcy idą teraz do wielkiego celu".

Do tego trójgłosu dorzucić należy jeszcze głos sjonistów żydowskich z Czechosłowacji, w których imieniu p. Esriel Carlebuch w tygodniku *„Selbswehr"* (Samoobrona), sławi Hitlera za zwycięstwo idei nacjonalistycznej. Hitler dowiódł zdaniem młodego szowinisty żydowskiego, że „nie ludzie, nie czasy, nie klasy, nie interesy ekonomiczne, ale imponderabilia zwyciężają".

Nie trzeba dodawać, że głos tego faszysty żydowskiego wywołał gwałtowne odpowiedzi ze strony jego ziomków.

***

Świat zbliży się tego lata do wielkich rozstrzygnięć. Poczynając od drugiej połowy maja, kiedy na niemieckie deklaracje zbrojeniowe, wykluczające pacyfizm, jako niezgodny z duchem starogermańskim, aż do pierwszej połowy czerwca, gdy w Instytucie Geologicznym w Londynie zbiorą się wszyscy mędrcy-ekonomiści, na stół rozważań wspólnych wejdą wszystkie zagadnienia, troski i kłopoty ustroju gospodarczego i stosunków międzynarodowych.

O inicjatorze wielkiej narady ekonomicznej, prezydencie Roosevelt'cie, mówią, że gdy szedł do władzy, jeszcze wiedział, czego chciał, obecnie zaś unoszą go fale wypadków i niema przed sobą ani planu, ani metody działania. Potwierdzają to, jakgdyby, jego różne niespodziane posunięcia pomnażające chaos na świecie i w jego własnej ojczyźnie wbrew reklamie, że w tym albo owym stanie „kryzys został zlikwidowany".

W tym samym stanie unoszenia się na falach znajdują się, bodaj, wszyscy wielcy mężowie i „uczeni w piśmie". Stąd zachodzi obawa, aby Instytut Geologiczny w Londynie nie stał się taką samą salą zgubionych planów, jak pałace nad Lemanem.

St. Gr.

„BEZ ZDUNA ANI RUSZ..."

Słońce grzeje coraz śmielej, coraz intensywniej, coraz bardziej bezwzględnie. Popędzani jego radosnemi promieniami i ciepłym wiatrem znajdziemy się już któregoś bardzo bliskiego dnia na dworcu kolejowym. Za nami „tłomoków całe błonie"... Balje, tary, tapczany, wyżymaczki, kosze, wózki dziecięce... leżaki, hamaki, rowery „hulajnogi"... kotły, garnki, garnuszki...

Jedziemy na letnisko! Po cygańsku przemyślni zabraliśmy z sobą co się da: czy potrzebne, czy niepotrzebne — tak, poprostu, na wszelki wypadek. Zabraliśmy i konika na biegunach i gramofon i radjo — zabraliśmy zdaje się wszystko, co na letnisku ma stworzyć nam wygodę i żywot beztroski. My mamy przecież odpoczywać w pogodzie ducha, łykając łapczywie ozon wiejskiego powietrza, dzieci mają śmiać się, radować i rosnąć, jak na drożdżach.

Wyładowaliśmy swoje lary i penaty w wynajętym „drewniaku" podmiejskiego letniska. Las jest, ozon jest, krówki ryczą, ptaszyny świergocą — wogóle uroczo, uroczo... Dziatki już się weselą, słońce się śmieje — jesteśmy w zaczarowanej krainie. Nic to, że przez ścianę (wyraźnie — przez ścianę), drewniaka zaglądają ciekawe oczy, nic to, że drzwi się nie zamykają i brakuje szyby w oknie — to są sprawy mało ważne i bardzo poziome. Tylko ludzie zgorzkniali i małego ducha mogą na to zwracać odrazu uwagę i tem się przejmować. Nie słychać zgrzytu tramwajów, nie czuć spalinowych zapachów, nie jęczy „pieśń szpitalna o Jakubiaku", nie widać żadnej z „miłych" sekwestratorskich twarzy — czyż szczęście może wyglądać inaczej?

— A teraz Maniu, ugotujemy dla Fredzia kaszkę!...

Buchają z kuchennej ubikacji kłęby czarnego dymu.

— Ślicznie wyglądamy, proszę pani!— wpada, jak furja panna Marjanna.

— Cholera nie kuchnia! — submituje się dzielny „garkotłuk" z czerwonemi od dymu oczami.

— Takie jeich i chamskie kuchnie! — konkluduje wreszcie z bezgraniczną powagą.

Po godzinnych bohaterskich wysiłkach przy kuchni, wyczerpaliśmy całkowicie naszą pomysłowość.

— Bez zduna ani rusz! — ostateczny wniosek naszej syzyfowej pracy.

Fredzio ryczy, nas zalewa krew apoplektyczna, a słońce wesoło świeci i las poważnie szumi.

Czy zawsze tak bywa na letnisku? Oczywiście nie, gdyż przed kuchennemi niespodziankami bardzo łatwo jest się zaasekurować. Wystarczy zabrać w wielkiej masie tobołków małą kuchenkę spirytusową „Emes", a niezależność od kapryśnej płyty kuchennej mamy zagwarantowaną.

Kuchenka „Emes" to sprzęt na letnisku absolutnie *konieczny*, dzięki niej unikniemy niewątpliwie tysiącznych kłopotów. O każdej porze dnia i nocy gotowa do pełnienia służby, ekonomiczna i zupełnie bezpieczna — kuchenka „Emes" to najbliższa i najbardziej niezawodna nasza pomocnica na letnisku.

Pamiętajmy więc, by w naszych letniskowych bagażach nie zabrakło „Emesu" i blaszanki z denaturatem! Przezorność pod tym względem powinna być naszem przykazaniem.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Mieczysławowi L. w Gdyni. Dziękujemy serdecznie.

Pani Zofji Ch. w Warszawie. Będziemy o tem pisali.

Panu A. W. St. w Łodzi. Adres p. Józefa Czyścieckiego, autora reportażu p. t. „Z za biurka referenta opieki społecznej" w n-rach 18 i 19-tym „Epoki": Zakopane, Magistrat.

Panu Marjanowi B. we Lwowie: Nie do druku.

Panu Józefowi K. w Skierniewicach. Wiadomo było zgóry, że o instytucji tego rodzaju, co „Liga reformy obyczajów" będą szerzone niestworzone brednie, że przypisze się jej cele niemoralne, podczas gdy właśnie sensem i celem Ligi jest umoralnienie obyczajów przez walkę z kłamstwem, fałszem i obłudą. Stara to, jak świat, historja: każdej reformie, każdemu dążeniu do zmiany skostniałych form, każdej walce o naprawę życia towarzyszą nikczemne insynuacje i oszczerstwa. Są na to trzy niezawodne sposoby: wola, wytrwałość i cierpliwość.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Zygmunt Nowakowski: Niemcy à la minute... Gebethner i Wolff. Warszawa, 1933.

Leon Kruczkowski: Kordjan i Cham. Wydanie drugie. Gebethner i Wolff. Warszawa 1933.

Ernest Glaser: Pokój. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa 1933.

Pola Gojawczyńska: Powszedni dzień. Poprzedził przedmową Ignacy Matuszewski. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa, 1933.

Jakób Wasserman: Bula Matari. Życie Stanleya. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa 1933.

Anna i Jerzy Kowalscy: Złota kula. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Adam Ważyk: Latarnie świecą w Karpowie. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Bertrand Russel: Wychowanie a ustrój społeczny. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa. 1933.

Felicja Romanowska: Wileńska powieść kryminalna. Wilno, 1933.

Prof. Dr. Ludwik Jaxa Bykowski: Współdziałanie domu i szkoły w wykształceniu przyrodniczem młodzieży. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa 1933.

Prof. dr. Jan Piaget: Jak sobie dziecko świat przedstawia? Przekład z francuskiego Marji Ziembińskiej. — Książnica-Atlas. Warszawa — Lwów 1933.

Marja Gutkowska: Historja ubiorów. Z atlasem zawierającym 349 rycin i 11 tablic. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa 1932.

Świat i Życie. Miesięcznik. Zeszyt 5. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa 1933.

Jan Reytan: Kto winien. Powieść. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa 1933.

Jerzy Kurnatowski: Stosunki polsko-francuskie na przestrzeni dziejów. Nakładem Stowarzyszenia Polsko-Francuskiego. Warszawa 1933.

Jerzy Kurnatowski: Czesi i Słowacy. Wydawnictwo „Świat Współczesny". — Warszawa 1933.



TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-339 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.